◆ STEFAN ZWEIG: AGONIA POKOJU ▪ WOJNA W OCZACH POETÓW I DZIECI ◆

CZYTELNIK

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V — Warszawa, dnia 22 sierpnia 1948 r. — Nr 34 (195)

MAKSYM GORKI

Nad równiną morza siwą wicher kłęby chmur gromadzi.
Między morzem i chmurami dumnie ptak szybuje chyży, rzekłbyś: czarna błyskawica.
To skrzydłami falę muśnie, to się w chmury strzałą wzbije; krzyczy ptak — i chmury słyszą pieśń radosną w śmiałym krzyku.
Jest w tym krzyku żądza burzy. Siłę gniewu, płomień pasji, ufność w tryumf i zwycięstwo słyszą chmury w krzyku owym.
Jęczą mewy, czując burzę, jęczą, krążą, rozmiotane na dnie morza, by ukryły trwogę swą przed nawałnicą.
Jęczą mewy przerażone — bo im, mewom, nie zrozumieć upojenia bitwą życia: grom uderzeń je przeraża.
Pingwin głupi i tchórzliwy w skałach tłuste cielsko chowa...
Tylko on, Albatros dumny, płynie śmiało i swobodnie nad spienionym siwym morzem.
Coraz mroczniej, coraz niżej opadają ciężkie chmury — i śpiewają, rwą się fale na spotkanie piorunowi.
Zagrał grom — i w pianie gniewu jęczą fale, z wiatrem walcząc. Oto wiatr w ramiona chwycił stado fal uściskiem mocnym — i z rozmachu, wściekły, dziki, cisnął nimi w skał granity, w pył i bryzg rozbijając szmaragdowe kotłowisko.
Mknie Albatros, zwiastun burzy, rzekłbyś czarna błyskawica, z krzykiem zwały chmur przeszywa, skrzydłem pianę fal roztrąca.
Oto wzleciał — i jak demon, butny, ciemny demon burzy, krążąc, śmieje się i szlocha: z chmur się śmieje, a szlochaniem zachłystuje się z radości.
W gniewie gromu — demon czujny — dawno wyczuł już znużenie. Wie na pewno nie zakryją chmury słońca, nie zakryją...
Huczy grom... Wichura wyje...
Zapełgały ogniem siwym stada chmur nad wód otchłanią. Morze chwyta błyskawice i w kipieli swojej gasi, a odblaski tych błyskawic, ginąc wiją się w głębinie, jako żmije płomieniste.
Burza ciągnie! Burza bliska!
To jej zwiastun, to Albatros, dumnie śród błyskawic płynie nad wyjącym gniewnie morzem; to zwycięstwa prorok krzyczy:
— Niech potężniej zagrzmi burza!

(Pieśń o Zwiastunie burzy) — przełożył JULIAN TUWIM

PAUL ELUARD

„POEZJA POWINNA SOBIE STAWIAĆ ZA CEL PRAWDĘ UŻYTECZNĄ"

Moim wymagającym przyjaciołom

Jeśli wam mówię że słońce leśne
Jest jak ofiarowujące się w pościeli łono
Wierzycie mi pochwalacie moje chęci

Jeśli wam mówię że deszczowych dni
Dźwięczy kryształ w lenistwie miłosnym
Wierzycie mi przedłużacie czas miłości

Jeśli wam mówię że w łóżka gałązkach
Ptak wije gniazdko który nigdy „tak" nie pow.
Wierzycie mi mój niepokój dzielicie

Jeśli wam mówię że zatoka źródła
Kluczem rzeki obraca otwierając zieleń
Wierzycie mi jeszcze rozumiecie

Lecz jeśli bez ogródek mówię o całej ulicy
O całym świecie mówię jak o ulicy bez końca
Już wtedy nie wierzycie już odchodzicie w pustkę

Ponieważ idziecie bez celu nie wiedząc o tym że ludzie
Muszą być zjednoczeni nadzieją walki
Aby świat wytłumaczyć aby świat przemienić

Pociągnę was za sobą jednym krokiem serca
Brak mi sił żyłem długo jeszcze żyję
Ale męczy mnie mówić aby was zachwycać
Skoro chciałbym uwolnić was aby was związać
Nie tylko z trawą morską i pierścieniem świtu
Ale z naszymi braćmi którzy tworzą przyszłość.

przełożyła EWA FISZER

HENRI BARBUSSE

Jeden z widzących pobladły, unosząc się na łokciu, wylicza i przelicza dzisiejszych i przyszłych kombatantów: trzydzieści milionów walczących.
Inny znów bełkoce, z okiem rzezią przepełnionym:
— Dwie armie sprzęgnięte w walce, to po prostu jedna, która popełnia samobójstwo.
— Nie trzeba było, naprawdę! — odpowiada głęboki głos pierwszego w szeregu.
Inny na to:
— Ależ to nowa Rewolucja Francuska!
— Biada tronom! — głosi szeptem drugi.
— Czyżby to była najostrzejsza z wojen? — dodaje trzeci.
Zapada milczenie, a później otrząsają się czoła, białe jeszcze od mdłej tragedii nocy, przepoconej bezsennością.
— Powstrzymać wojny! Czyż to jest możliwe? Powstrzymać wojny! Nie, rana świata jest nieuleczalna.

— — — — — — — — — — — — — — —

A przecież patrzący, pogrążeni w kontemplacji, stojąc na progu świata, ci, z których spłukano namiętności partyjne, uwolnieni od komunałów, od zaślepień, od uroków tradycji, zaczynają doświadczać w sposób nieuchwytny prostoty wszechrzeczy i otwartych jak horyzont możliwości...
Ten z ostatniego szeregu woła:
— Patrzcie-no, tam w dole widać coś co pełza.
— Tak, i to jakby coś żyjącego.
— Jakgdyby rośliny, czy co.
— Jakgdyby ludzie...
I oto wśród ponurych odblasków zawiei, z popod rozczochranych czarnych chmur, rozpostartych nad ziemią niby złe anioły, widzą u swoich stóp ogromną siną równinę. W polu ich widzenia kształty jakieś wychybują z równiny stworzonej z błota i z wody, przywierają do powierzchni gruntu, oślepione, zadławione szlamem, niby rozbitki potworne. I wydaje się im, że to żołnierze.
Ogromem ściele się równina ociekająca deszczem, poprzerzynana długimi równoległymi kanałami, zryta lejami pełnymi wody, a rozbitkom, którzy usiłują się z niej wydobyć, na imię jest legion... Przecież trzydzieści milionów niewolników, których zbrodnia i błąd rzuciły na siebie w tę wojnę błota, tych trzydzieści milionów podnosi w górę ludzką twarz, gdzie zaczyna prześwitać wola.
Jutro leży w ręku niewolników, i widać już jasno, że świat stary przemieniony będzie przez przymierze. Zbudują je niebawem pośród siebie ci, których i liczba i nędza są nieskończone.

(Fragment powieści „Ogień")

Pokój – po wrocławsku

W dwudziestym pierwszym roku wchodząc do Rotundy berlińskiej trafiałeś na grupę dzieci żebrzących, wyrywających z rąk kęs chleba. Ocierały się o ciebie matki i dziewczęta kupczące swym ciałem — a przy stolikach, przy kawie, w oparach dymu wylęgały się kurzomózgie teorie i teoryjki na temat metafizyki, upadku kultury europejskiej, nieuniknioności wojen, bezsensu oporu i sensu świństwa bohemy elitarnej. Z tych oparów mistycyzmu, rozkładu i pesymizmu zrodziła się rozbrajająca wolę i chęć walki „teoria" upadku Europy, która pozwoliła jurnym chłopakom hitlerowskim opanować bezwolne, zmęczone społeczeństwo i prowadzić je do nowej rzezi światowej.

Walka rozpoczęła się już wtedy. Powstawał na wschodzie nowy, wielki świat pełen optymizmu, wysiłku woli ludzkiej i entuzjazmu pracy. We Francji Romain Rolland i Henri Barbusse a potem Louis Aragon i tylu innych rozpoczęło walkę o skupienie twórców nauki i sztuki, o stworzenie siły oporu przeciwko fabrykantom niemocy społeczeństw i potęgi militarnej klik wojennych. Przyświecał im wielki umysł i wielkie serce Maksyma Gorkiego, spadkobiercy najszczytniejniejszych tradycyj Lwa Tołstoja i Emila Zoli. Szereg kongresów działaczy kultury w obronie pokoju wytworzył klimat, w którym dojrzewała wiara w siłę ludów. W tym klimacie rosło to pokolenie, które w mrocznych latach hitlerowskiej okupacji Europy stworzyło ośrodek walki. I mimo że oddziaływanie tych kongresów nie jest tak wymierne, jak liczba luf armatnich, czy Messerschmittów — stanowiły one jednak i stanowią siłę groźną, skoro wywoływały zawsze — i wywołują — wściekłość i przekleństwa propagandy wojennej, bądź też wykrętny sceptycyzm tchórzliwych intelektualistów.

Gdy więc rosła w okresie międzywojennym potęga realnej siły pokoju — świata socjalizmu — tworzyła się równolegle i siła kulturalna bojowników postępu. I nic, że niektórzy, jak niezwykły filolog i komunista Just Jaszuński zginęli od kuli hitlerowskiej w Hiszpanii, a płomienne serce Henryka Dembińskiego przestało bić od kuli hitlerowskiej w Polsce, nic, że odbyte kongresy kultury nie uratowały świata od drugiej wojny, — z ich klimatu wyrosło pokolenie zwycięstwa.

W roku czterdziestym piątym po nocach straszyły na zaciemnionych ulicach Paryża sylwetki obłąkanych ludzi i bezdomnych włóczęgów i kotów, a w kilku kawiarniach odradzały się na nowo teorie junkrów, rozkwitała metafizyka pesymizmu, rozkładu i fatalizmu popleczników Sartre'a: — kto wie, może raz jeszcze uda wsławić się tym, że wyścieli się kobierzec, po którym cicho, cichuteńko, przez znękane i zmęczone nastroje rozbrojonych umysłów zakradnie się, wślizgnie w zaufanie ludzi — nowy zbir wojenny? W roku czterdziestym piątym z kraju Lincolna zaczęto straszyć świat bombą atomową, dolarami i teorią jakiejś jedynej władzy nad światem (czy to nie nowe imperium hitlerowskie?). Walce narodów o wolność własną przeciwstawiono majaki kosmopolitycznego rządu jednego kraju: — kto wie, może się uda raz jeszcze wywołać zastraszenie, histerię, niepokój, rozbroić czujność, uśpić wolę i raz jeszcze spróbować drogi, na której nie tak dawno skaputtował twórca mitu „narodu panów"?

W czterdziestym ósmym roku właśnie w Polsce i właśnie we Wrocławiu po raz pierwszy po wojnie światowej spotkają się na Kongresie w Obronie Pokoju przedstawiciele świata nauki i kultury, przedstawiciele czterdziestu narodów. Jeśli przypominamy i uświetniamy tradycję kongresów okresu międzywojennego — to ani na chwilę nie możemy zapomnieć, że Kongres Wrocławski odbywa się w warunkach zgoła odmiennych.

Nas jest obecnie mrowie, — nas, to znaczy obywateli krajów, gdzie zmiana ustroju społecznego i politycznego unicestwiła źródła wojen, uczyniła walkę o pokój realną i trwałą — w porównaniu z obywatelami krajów, gdzie rządzą zwolennicy nowych wojen lub ich powolni wykonawcy. Druga wojna światowa udowodniła, że walka o pokój przestaje być czczym, bezwartościowym frazesem tylko wtedy, gdy łączy się z walką o postęp. Doświadczeni podstępnymi drogami hitleryzmu, wiemy już dziś niezbicie, że nie może walczyć o pokój naukowiec czy artysta, którego twórczości nie ożywia wielka wiara w postęp, wiara w wysokie posłannictwo sztuki i nauki, — który nie ma optymistycznej odwagi i spokoju, wypływającego z przekonania, że gnije i rozkłada się nie kultura europejska, ale — jej grabarze. Wiemy dzisiaj niezbicie, że nie ma realnej walki o pokój bez codziennej, bezpośredniej kazdogodzinnej i każdominutowej łączności z potężnym ruchem robotniczym i jego rządami, tam gdzie on zwyciężył.

Stąd, z chwilą gdy walka o pokój weszła na tory realne, odpadło kilka nazwisk i ludzi. Tym gorzej dla nich. W Kongresie Wrocławskim weźmie udział bezpośrednio czy pośrednio, — wszystko to co jest największe, najwspanialsze i najbardziej szlachetne w kulturze artystycznej i naukowej naszego pokolenia. Jeśli w okresie międzywojennym przyjeżdżali pisarze niemieccy tylko z emigracji, to dziś rozumiemy, czemu nie przyjadą wybitni pisarze ze Stanów Zjednoczonych. Jedni, jak Fast, nie mogą, bo siedzą w więzieniu, innym grozi los Fasta, jeszcze inni — co najgorsze — stchórzyli i zlękli się rozwścieczonego chamstwa u władzy. I jak podczas dotychczasowych kongresów tak i obecnie łatwo geograficznie określić, skąd pisarz nie mógł przybyć na międzynarodowe zbratanie twórców postępu.

Sam fakt zwołania Kongresu Wrocławskiego nabrał niezwykłej doniosłości. Jest on świadectwem tego, że świat nie daje się zastraszyć widmem wojny, ani zachętami do kapitulacji. Jest on świadectwem niegasnącej odwagi i optymizmu ludzi nauki i kultury.

Tym bardziej, że odbywa się w kraju, gdzie na zgliszczach i ruinach powojennych nauka i kultura poczyniły w ciągu kilku lat takie postępy. W kraju, który uzyskał po wojnie granice pokoju i sojusze pokoju.

Właśnie w kraju niegasnącego optymizmu i radości pracy — w Polsce. Właśnie w mieście pokoju — we Wrocławiu.

Jerzy Borejsza

ROMAIN ROLLAND

Słowo „pokój" określa równie dobrze właściwości cmentarza i pól uprawnych. „Pokój" może oznaczać tchórzliwe milczenie, jakie dzięki tyranom panuje nad narodami niewolników — oraz pracowity porządek, którego chcą i które wywalczyły wolne ludy. „Pokój" może być pokojem państw grabieżczych, pokojem chytrości i czatowania na godzinę orężnego zwycięstwa. Może być również pokojem czujnym i silnym, stawiającym tamę napierającym mitom wojny. Istnieje jeszcze taki pokój, który jedynie słowo „pokój" bez końca powtarza, który tylko pragnie nie widzieć zbliżającej się wojny i chce ją usunąć ze swego pola widzenia na możliwie długi czas (w myśl zasady: „niech się poza zasięgiem moich interesów dzieje, co chce") i gotów jest paktować z siłami, zagrażającymi całemu światu.
Nasz pokój jest pokojem wolnych narodów, wolnych ludzi wszystkich krajów, którzy muszą się zjednoczyć i którzy zjednoczą się przeciwko wojnie i podżegaczom wojennym, przeciwko faszyzmowi we wszystkich krajach — własnych i obcych — przeciwko wszystkiemu, co zagraża wolności, godności ludzkiej i postępowi. Bowiem wszystko co ludzkie, jest zarazem nasze. I wszystko, co jest wrogiem ludzkości, współdziałającej na zasadach sprawiedliwści i równości, każdy rasizm, wszelkie metody imperialistyczne naszego, czy obcego imperializmu — jest naszym wrogiem. Nasz pokój istnieje, podobnie jak nasz sposób myślenia, w wymiarze międzynarodowym.
Pragniemy zyskać miejsce w szeregach wielkiej armii postępu, która odnowi porządek społeczny. Nasz pokój światowy jest pokojem nowego rewolucyjnego porządku, który chce naprawić i naprawi niesprawiedliwości i błędy porządku starego. Pokój i rewolucja są ściśle ze sobą związane. Konieczność i niezwyciężony rozmach rewolucji prowadzą — do pokoju! Pokój zaś prowadzi do szerokiego i potężnego nurtu rewolucji.

(Z przemówienia na konferencji dla spraw pokoju w Brukseli)

ARCHIBALD MAC LEIH

POLEGLI W HISZPANII

Na to będzie odpowiedź
Odpowiedzi nie było na łzy na to będzie odpowiedź

Łzy Madrytu Barcelony Walencji
Łzy zostały bez odpowiedzi

Krew Guerniki Badajoz Almerii
Krew została bez odpowiedzi

Łzy przeschły na licach

Krew wsiąkła w piach

Łzy i krew zostały bez odpowiedzi

Na to będzie odpowiedź

Że mężowie z Guerniki nie mówią nic
Że dzieci almeryjskie milczą
Że nieme są kobiety z Badajoz
Że straciły głos
Że krtanie im zadławiła krew
Że nie mówią, że więcej nie przemówią nigdy
Że dzieci almeryjskie milczą
Nieruchome już nigdy nie drgną te dzieci
Ciała ich strzaskane kości popękane usta zwiędnięte
Że nieżywi są że niemi są że trwają bez słów
Nie myślcie
Nie myślcie że nie będzie odpowiedzi

Nie myślcie
I-że krew nie otrzymała odpowiedzi
Że i kłamstwo zostanie bez odpowiedzi

Nie myślcie
I-że łzy nie otrzymały odpowiedzi
Że i kłamstwo zostanie bez odpowiedzi

Tego nie myślcie
Będzie odpowiedź
Nadejdzie odpowiedź
Z czasem bo my mamy czas

Mają czas polegli w miastach
Badajoz Guernika Almeria

Mogą czekać: mają wiele czasu

Mają czas
Mogą czekać

przełożył ALLAN KOSKO

TEODOR DREISER

Jestem głęboko przejęty widząc, iż tak wielu świetnych pisarzy mogło stanąć do walki o wolność, walki jaka się toczy w wielu krajach nawiedzonych przez faszyzm i wojnę. Świadczy to, że pisarze całego świata są całkowicie świadomi tego co się dzieje, i że prawie zawsze byli świadomi zła epoki, w której żyją. Wydaje mi się, że w sztuce i literaturze artysta i pisarz powinien wczuwać się przede wszystkim w zagadnienia życia, aby móc je zrozumieć, a gdy je zrozumie — pojmie wielkie sprawy społeczne, zwłaszcza, jeśli one dotyczą walki o warunki życia.

Wojna światowa wraz z wybuchem Rewolucji Rosyjskiej i wkroczeniem komunizmu na arenę dziejową zmieniła główny nurt literatury — a raczej rozszczepiła go na dwa nurty. Jeden z nich kontynuuje powieść, opartą na fikcji literackiej i interesach jednostki, bez zainteresowań dla spraw społecznych — drugi oświetla długą listę problemów, dotyczących pracy na roli i w fabrykach; niektóre dzieła tego rodzaju są doprawdy wspaniałe i znajdują rzesze czytelników. Listy obu rodzajów książek są bardzo długie. Osobiście mam mało zadowolenia z wartości intelektualnych i artystycznych książek, które są jedynie opowiadaniem historyjek dla samej przyjemności opowiadania. Natomiast, w dziedzinie rzeczywistości, dotyczącej współczesnych spraw gospodarczych i społecznych, mam do zanotowania dwa przynajmniej dzieła wybitne: „God's little Acre" Erskina Caldwella i „Sanctuary" Williama Faulknera. Ci ludzie, oraz niektórzy nasi wybitni dramaturdzy, jak Marc Beitzstein w „The Cradle Will Rock", Paul Peters w „Stevedore" i „Tobacco Road" wg powieści E. Caldwella — sztuce granej bez przerwy przez pięć lat — są najlepszym dowodem nowych tendencji w literaturze amerykańskiej, zwalczanych zarówno przez krytykę konserwatywną jak i przez naszych autokratów.
Nie wiem, jaka jest sytuacja literatury w krajach, reprezentowanych na tej sali. Znam tylko własny język, lecz myślę, że to co powiedziałem, może rzucić światło na sprawy, z którymi stykają się pisarze całego świata. Wydaje mi się, że u nas walka o sprawiedliwość społeczną znajduje się jeszcze w powijakach, lecz rozwijając się znajdzie oparcie nie tylko w samych osobach pisarzy, lecz i w wysokim gatunku ich dzieł oraz w sympatii, jaką te dzieła wzbudzą w społeczeństwie.

(Przemówienie na brukselskiej konferencji w obronie kultury)

STEFAN ZWEIG — przekład MELANII WASERMANÓWNY

AGONIA POKOJU

Lato 1939 roku. Od dawna rozchwiały się krótkotrwałe iluzje, związane z Monachium; przebrzmiało hasło „pokoju w naszej epoce". W tym czasie Hitler zajął rozdartą Czechosłowację, wbrew swym przysięgom i ślubowaniom. Kłajpeda została zajęta, prasa niemiecka domagała się Gdańska i korytarza polskiego ze sztucznie podsycaną zaciekłością. Anglia, zawiedziona i zasmucona, ocknęła się ze swej szlachetnej łatwowierności. Nawet szary człowiek, nie przybrany w mundur, żywiący w stosunku do wojny odrazę raczej instynktowną, zaczął ujawniać rozgoryczenie i zniechęcenie. Tak powściągliwi zazwyczaj Anglicy poruszeni byli do ostateczności; nawet portier, windziarz, pokojówka zdradzali zaniepokojenie. Nikt nie wiedział dokładnie, o co właściwie idzie, wszyscy atoli pamiętali o bezprzecznym fakcie: premier angielski Chamberlain podejmował trzykrotnie lot do Niemiec, aby zabezpieczyć sprawę pokoju, lecz żadne ustępstwa nie zadowalały Hitlera. Gromkie głosy odzywały się w parlamencie angielskim surowo: „Dość, precz z agresją!" Ze wszech stron dawały się zauważyć przygotowania do wojny, a raczej, ściślej mówiąc, przeciwko wojnie. Znów gromadzić poczęły się nad Londynem balony zaporowe, wyglądające niewinnie, niczym szare słonie — zabawki dziecinne, znów zabrano się do kopania schronów przeciwlotniczych, znów przydzielano ludności maski gazowe i uczono skrupulatnie ich zastosowania. Stan zawieszenia i niepewności przypominał podobne stany sprzed roku, a może i przewyższał je nawet, gdyż naród angielski, zarzuciwszy uprzednią naiwność i prostoduszność, stał teraz ławą za rządem, zdeterminowany i gniewny.

W owym czasie wyjechałem z Londynu i przeniosłem się do Bath. Byłem tak okrutnie świadomy bezsilności ludzkiej wobec wydarzeń w skali światowej jak nigdy dotąd. Z jednej strony jednostka, szary człowiek zatopiony w sprawach jakże odległych od polityki, oddany swej pracy, w mozolnym trudzie dnia codziennego. Z drugiej strony, w niedostępnej dali dziesiątki osób, których nikt nie zna, nigdy nie widział na oczy, jacyć mężowie stanu na Wilhemstrasse w Berlinie, na Quai d'Orsay w Paryżu, w Palazzo Venezia w Rzymie, na Downing Street w Londynie konferują, piszą, telefonują, podpisują traktaty. Podejmują decyzje, w których jednostka nie bierze żadnego udziału, i w finale ogłaszają dyspozycje obejmujące moje własne życie, życie każdej jednostki w Europie. Los mój jest w ich rękach, już nie w moich własnych. Mogą zrujnować czyjeś życie lub je oszczędzić, zezwalają na wolność lub wpędzają w niewolę, rozstrzygają — pokój czy wojna — za miliony.

Oto siedzę w moim pokoju, bezbronny jak mucha, bezsilny jak ślimak, podczas, kiedy moje życie i śmierć, moje najgłębsze „ja", cała moja przyszłość, myśli powstające w moim mózgu, plany zrodzone i nie zrodzone we mnie, mój sen i moja jawa, moja wola, mój stan posiadania, wszystko, co we mnie jest — waży się na szali! Siedzę i czekam, z oczyma utkwionymi w pustkę, niczym skazaniec w celi, uwikłany w bezsensowne, bezradne oczekiwanie, rozmyślając nad tym, co z nami będzie. Od czasu do czasu dzwoni telefon, ktoś ze znajomych pyta, co o tym wszystkim myślę. Gazety nic nie wyjaśniają, raczej gmatwają orientację. Komunikaty radiowe przeczą jedne drugim.

Skoro wyjadę na miasto, pierwszy spotkany człowiek zapyta mnie, czy będzie wojna — a ja wiem tyle samo co on. Będzie zadawał mi pytania, medytował i rozważał, zdając sobie sprawę, że wszystka wiedza, doświadczenie, rozsądek i zdolność przewidywania, gromadzone całymi latami, wszystkie umiejętności rozumowania, w jakich człowiek szkolił się tak długo, są bez jakiejkolwiek wartości w obliczu werdyktu, jaki rzucą nieznani mężowie stanu. Po raz drugi w obrębie dwudziestu pięciu lat człowiek okazał się równie bezsilny i bezwolny jak po raz pierwszy.

Dalsze przebywanie w stolicy wydawało mi się nie do zniesienia. Krzykliwe wrzaski plakatów, rozlepionych na każdym rogu ulicy, wskakiwały na mnie niczym sfora rozjuszonych psów. Idąc ulicą, mogłem odczytać myśli tłukące się w mózgu każdego człowieka, którego mijałem. Myśli każdego przechodnia i moje własne myśli nie odbiegały niczym od siebie. Szło o Tak czy Nie, Czerwone czy Czarne w decydującej grze, w której stawką było moje własne życie, nie napisane książki, nagromadzone doświadczenia, wszystko, co do tej pory kształtowało sens i cel mojego życia.

A kulka toczyła się niezdecydowanie to tu, to tam na rulecie dyplomatycznej, z rozpaczliwą powolnością. W tył i w przód, wtecz i wprost, czerwone i czarne, czarne i czerwone, nadzieja i rozczarowanie, dobre wieści i złe wieści, i wciąż jeszcze nic decydującego, ostatecznego, finalizującego.

— Postaraj się zapomnieć! — nakazywałem sam sobie. — Uciekaj, zamknij się w sobie, zatop się w pracy, uciekaj tam, gdzie będziesz tylko sobą, nie igraszką w tej piekielnej grze, tam, gdzie strzęp twego mózgu będzie mógł jeszcze działać prawidłowo w tym świecie ogarniętym szaleństwem.

Nie czułem się na siłach zabrać się do pracy. Latami całymi gromadziłem materiały przygotowawcze do obszernego, dwutomowego studium o Balzaku i jego dziełach, ale wciąż nie mogłem zdobyć się na odwagę żeby zabrać się do pracy tak ogromnej, obliczonej na długi okres czasu. Teraz oto ponury nastrój wzniecił we mnie tę odwagę. Zaszyłem się w Bath, właśnie w Bath, gdyż to miasteczko wierniej niż jakiekolwiek inne jest odbiciem wieku XVIII-go, epoki pokoju. W tym mieście najwięksi koryfeusze literatury angielskiej — z Fieldingiem na czele — tworzyli swe najlepsze dzieła.

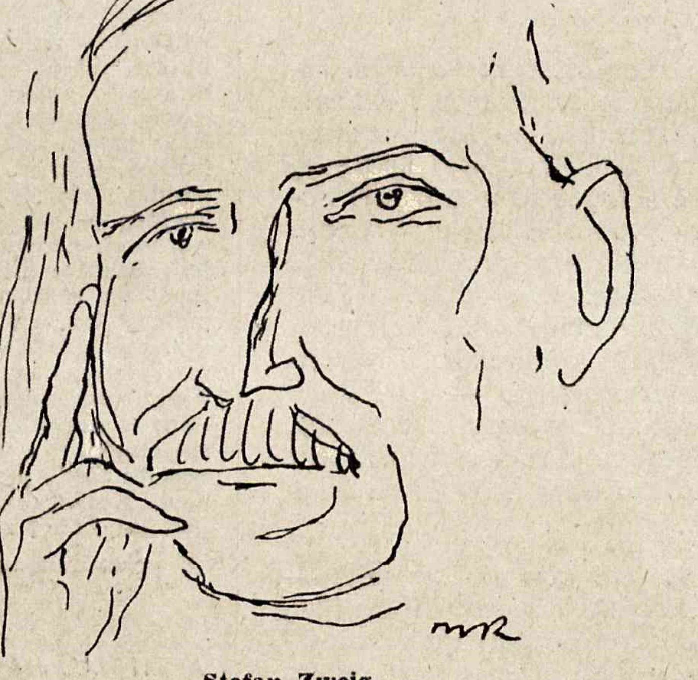
Jakiż bolesny kontrast między łagodną urodą krajobrazu a rosnącym niepokojem świata! Podobnie jak lipiec roku 1914 — najpiękniejszy miesiąc letni, jaki pamiętam w Austrii — tak samo piękny, wyzywająco piękny był ów sierpień 1939 roku w Anglii. Znów miękkie, jedwabisto błękitne niebo wznoszące się jak tabernaculum, znów dobrotliwy blask słońca padający na pastwiska i lasy, na kwiaty pyszniące się nieopisaną wspaniałością — to samo ogromne tchnienie pokoju nad ziemią, na której ludzkość gotowała się do wojny. Obłęd świata wydawał się niewiarygodny w obliczu tego niezmierzonego pokoju i bujnego przepychu kwiecia, w obliczu tej rytmicznej ciszy, która zdawała się czerpać radość z samej siebie. Doliny i parowy angielskiego Bath dziwnie przypominały mi swym urokiem austriackie Baden w roku 1914.

I znów nie mogłem uwierzyć w wojnę. W tym czasie przygotowywałem się do wyjazdu. Kongres PEN-Clubu miał się odbyć w Sztokholmie, w pierwszym tygodniu września 1939 roku. Szwedzi zaprosili mnie jako „gościa honorowego", gdyż, wiodąc żywot amfibii od dłuższego czasu, nie reprezentowałem żadnego narodu. Miałem już zamówioną kabinę na statku do Szwecji, gdy raz po raz zaczęły nadchodzić coraz groźniejsze wiadomości o powszechnej mobilizacji. Zgodnie z nakazami rozsądku powinienem był niezwłocznie spakować książki i manuskrypty i spiesznie opuścić wyspy Wielkiej Brytanii, w przewidywaniu, że stać się mogą terenem działań wojennych. Byłem cudzoziemcem, w razie wojny stałbym się automatycznie cudzoziemcem — nieprzyjacielem narażonym na wszelkie restrykcje, zagrażające wolności osobistej.

Ale jakiś niewytłumaczony sprzeciw we mnie wzbraniał mi myśli o ucieczce. Była w tym napoły pogarda dla ucieczki, napoły — znużenie. Miałem lat bez mała sześćdziesiąt, i nie miałem ochoty na walkę z losem, który mnie ścigał. Zostałem więc w Anglii.

Zapragnąłem wszakże doprowadzić moje sprawy prywatne do porządku: zamierzałem zawrzeć po raz drugi małżeńswo, nie chciałem więc już tracić ani chwili czasu, w obawie, aby na skutek internowania czy innych nieprzewidzianych zarządzeń nie zostać rozdzielonym z moją przyszłą towarzyszką życia.

Rankiem dnia 1 września, było to w piątek — udałem się do urzędu stanu cywilnego w Bath, aby zawrzeć związki małżeńskie. Urzędnik wziął od nas papiery, okazał się niezwykle usłużny i gorliwy. Jak wszyscy w owym czasie, rozumiał dobrze motywy naszego pośpiechu. Ceremonia została ustalona na dzień następny. Urzędnik ujął pióro w palce i zaczął starannie kaligrafując, wpisywać nasze nazwiska do księgi.



Stefan Zweig

Raptem — było to koło jedenastej — drzwi sąsiedniego pokoju otworzyły się z trzaskiem. Wbiegł jakiś młody człowiek, jeszcze w palcie i zawołał zdyszany:

— Niemcy napadli na Polskę! Jest wojna!

Te słowa jak młotem uderzyły w serce. Ale serce mojej generacji przywykło już znosić wszelkie ciosy.

— To jeszcze wcale nie znaczy, że jest wojna — rzekłem ze szczerym przekonaniem.

Ale młody człowiek odrzucił z gwałtownym oburzeniem:

— Nie! Dość mamy tego! Nie możemy pozwolić Hitlerowi na takie kawały co pół roku! Musimy położyć temu kres!

Tymczasem, urzędnik, który zaczął wpisywać nasze nazwiska, odłożył pióro zamyślony. Mimo wszystko — jak zdał sobie sprawę po chwili zastanowienia — jesteśmy cudziemcami, i na wypadek wojny staniemy się automatycznie cudzoziemcami wrogimi. Nie wiedział, czy w podobnych okolicznościach dopuszczalne jest zawarcie małżeństwa. Przeprosił nas i oświadczył, że na wszelki wypadek musi porozumieć się z Londynem i poprosić o instrukcje.

A potem przyszły dwa dni oczekiwania, nadziei, obawy, dwa dni najstraszliwszej niepewności. W sobotę rano usłyszeliśmy przez radio, że Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom.

Dziwny to był poranek. W milczeniu odeszliśmy od radia, które nadało tę wiadomość, wiadomość, która miała zmienić całkowicie nasz świat i życie każdego z nas z osobna. Wiadomość, która oznaczała nieszczęście i smutki, rozpacz i groźbę dla każdego z nas; jej znaczenie twórcze ujawni się może dopiero po wielu, wielu latach.

A więc znów wojna. Wojna straszliwsza, o szerszym zasięgu niż jakakolwiek z wojen poprzedzających. Znów kończyła się jedna epoka, znów rozpoczynała się druga.

Staliśmy w milczeniu i unikaliśmy wzroku nawzajem. W pokoju panowała śmiertelna cisza. Za oknem świergotały ptaki, płoche i rozswawolone, drzewa, całe w złocistym blasku, chyliły ku sobie liście, niczym wargi, spragnione miłosnego pocałunku. Nie, nie było sprawą Matki Natury brać udział w troskach ludzkiego stworzenia.

Udałem się do mego pokoju i spakowałem małą walizeczkę. Jeżeli spełnią się przepowiednie jednego z mych wysoko postawionych przyjaciół, Austriacy w Anglii będą uważani za Niemców i będą podlegali tym samym restrykcjom. Zapewne już tej nocy nie będę mógł spać we własnym łóżku. W ciągu jednej godziny z cudzoziemca przekształcę się w nieprzyjaciela. To zarządzenie wpędziło mnie w sytuację, do której nie umiałem się ustosunkować. Trudno bowiem wyobrazić sobie coś bardziej absurdalnego niż przymusowe zrównanie — wyłącznie na podstawie metryki, wypłowiałego papierka — z Niemcami, którzy tego samego człowieka od dawna skazali na wygnanie, ponieważ jego pochodzenie i postawa ideologiczna piętnowały go jako anty-Niemca, który zresztą jako Austriak nigdy Niemcem nie był. Jednym pociągnięciem pióra całe moje życie przeobraziło się w paradoks. Pisałem, myślałem w języku niemieckim, to prawda, ale wszystkie moje myśli i wszystkie pragnienia były po stronie tych państw, które z bronią w ręku walczyły o wolność całego świata.

Innego rodzaju lojalność należała już do przeszłości, zdawałem sobie z tego sprawę. Wiedziałem także i to, że po tej wojnie trzeba będzie wszystko rozpoczynać od początku. Najbardziej umiłowany cel, dla którego poświęcałem wszystkie me siły i wszystkie me przekonania w ciągu czterdziestu lat: — pokojowe zjednoczenie Europy — został skalany, zhańbiony. To, — czego obawiałem się bardziej niż własnej śmierci: wojna wszystkich przeciwko wszystkim — rozpętała się po raz wtóry. Przez całe życie mozoliłem się nad utworzeniem jedności między ludźmi — w tej chwili, która jak żadna inna domagała się nienaruszalnej spójni pomiędzy ludźmi, poczułem się naraz tak samotny, opuszczony i niepotrzebny jak nigdy dotąd.

Po raz ostatni powlokłem się ulicami miasta, chcąc zapamiętać jego wygląd pokojowy. Skąpane w słońcu, spokojne jak zawsze, zdawało się nie różnić niczym od codzienności. Ludzie kroczyli zwykłą drogą, poruszali się tak, jak do tego przywykli. Nigdzie nie zobaczyłbyś pośpiechu, nigdzie nie tłoczyli się ludzie zaniepokojeni. To zachowanie wprawiło mnie w zdziwienie, zadawałem sobie pytanie: czyżby ci ludzie nie wiedzieli jeszcze o niczym? Ale to byli przecież Anglicy, wyszkoleni w nieujawnianiu swych uczuć. Nie trzeba im było ani sztandarów, ani bicia w bębny, ani orkiestry, ani wrzawy — i bez tych zewnętrznych akcesoriów ustalała się w nich twarda, zawzięta, beznamiętna determinacja.

Jakże inaczej wyglądały owe dni w lipcu 1914 roku w Austrii... i i jakże inny byłem wówczas, jak różniłem się od niedoświadczonego młodzieńca z owych czasów, ileż teraz dźwigałem w swej pamięci! Wiedziałem już, co to znaczy wojna... Oglądałem schludne, dobrze zaopatrzone sklepy, i w oczach moich mignęła na chwilę wizja sklepów w roku 1918, opustoszałych, wyprzątniętych do ostatniego okruszka. Niby w widzeniu na pół sennym ujrzałem długie kolejki zatroskanych kobiet przed sklepami z żywnością, matki w żałobie, rannych, inwalidów...

Koszmar tamtych dni niby upiór powrócił w to osłonecznione południe. Znów ujrzałem żołnierzy, wracających z pola bitwy, w łachmanach, śmiertelnie znużonych, i znów poczułem grozę tamtej wojny w tej, która rozpoczynała się dzisiaj. Znów zdałem sobie sprawę z tego, co przeszłość uśmierciła, z ruin, w jakie pogrążyła Europę, ze zniszczeń, które obejmą więcej niż nasze życie. Rozpoczynał się nowy świat — ale przez ile piekieł, przez ile czyśćców przejść trzeba, żeby doń dotrzeć!

Słońce w pełni świeciło silnie. Wracając do domu, spostrzegłem nagle mój własny cień przed sobą, tak jak widzi się cień innego człowieka. Cienie rodzą się ze światła. Tylko ten, kto przeżył świt i zmierzch, wojnę i pokój, wzloty i upadki, tylko ten żył naprawdę.

(Z autobiografii Stefana Zweiga „Świat wczorajszy" („The World of Westerday", wydanej w Londynie w r. 1944).

Posłowie wydawcy

Stefan Zweig i żona jego, Elżbieta Charlotta Zweig, popełnili samobójstwo w dniu 23 lutego 1942 roku w Petropolis, w Brazylii. Oto ostatni list Zweiga:

„Zanim z własnej woli i w pełni władz umysłowych rozstanę się z życiem, pragnę wypełnić ostatni obowiązek: podziękować temu cudownemu krajowi, jakim jest Brazylia za to, że udzieliła mnie i mojej pracy gościny i wytchnienia. Z dnia na dzień wzrastała we mnie miłość do tego kraju, i gdybym miał budować mą egzystencję znów od podstaw, nie uczyniłbym tego gdzie indziej. Świat mojej własnej mowy przestał dla mnie istnieć, a moja ojczyzna duchowa, Europa, sama skazała się na zagładę.

Ale ktoś, kto ma lat ponad sześćdziesiąt, musiałby być wyposażony w niezwykłe siły, aby móc rozpoczynać wszystko od nowa. Moje siły wyczerpały się w ciągu lat bezdomnej tułaczki. Uważam więc za słuszne w odpowiedniej chwili rozstać się z życiem w którym praca intelektualna była mi najżywszą radością, a wolność osobista wydawała się najwyższym dobrem na ziemi.

Żegnam moich wszystkich przyjaciół! Może im dane będzie ujrzeć świt po tak długiej nocy! Ja, zbyt niecierpliwy, idę mu na spotkanie.

(—) **Stefan Zweig.**

Petropolis, 22.II.1942".

przekład **Melanii Wasermanówny**

WOJNA

JÓZEF CZECHOWICZ

ŻAL

Głowę która siwieje a świeci jak świecznik
kiedy srebrne pasemka wiatrów przefruwają
noszę po dnach uliczek
jaskółki nadrzeczne
świergocą to mało
idźże

Tak chodzić tak oglądać sceny sny festyny
rozstrzaskane szybki synagog
płomień połykający grube statków liny
płomień miłości
nagość
Tak wysłuchiwać ryku głodnych ludów
o to jest inny głos niż ludzi głodnych płacz

Zniża się wieczór świata tego
nozdrza wietrzą czerwony udój
z potopu gorącego
zapytamy się wzajem ktoś zacz
Rozmnożony cudownie na wszystkich nas
będę strzelał do siebie i marł wielokrotnie
ja gdym z pługiem do bruzdy przywarł
ja przy foliałach jurysta
zakrztuszony wołaniem: gaz
ja śpiąca pośród jaskrów
i dziecko w żywej pochodni
i bombą trafiony w stallach
i powieszony podpalacz
Ja czarny krzyżyk na listach

O żniwa
Żniwa huku i blasków

Czy zdąży kręta rzeka z braterskiej krwi odrdzawieć
nim się kolumny stolic znów podźwigną
nade mną
naleci wtedy jaskółek zamieć
świśnie u głowy skrzydło
poprzez ptasią ciemność
idźże idź dalej

1938 r.

MIECZYSŁAW JASTRUN

SKAZANIEC

Powietrze mówi ustami jednego z zabitych:
Dlaczego budzisz już zastygłą mękę?

Nie chciałem żadnej z waszych bitew —
Przyjacielu pozgonny, chcę milczeć — podaj mi rękę.

Kogo oskarżać mam — Boga? czy mordercę?
Worek mięsa i kości, leżę, przywalony grudą.

Jeszcze w ostatniej chwili, kiedy biło serce,
Oczekwałem cudu.

Głód, barłóg, wszy... Tylko nie to. Czy wyznać?
Strach był większy niż śmierć. Ona zeszła dopiero po jego cieniu.

I kiedy spadło ze mnie ciało, fałszywy talizman,
Odnalazłem ocalenie w zapomnieniu.

Nie budź mnie, nie budź mnie! Już powoli odwykam
Od waszych słów, od waszych pustych słów, nawet od
własnej męki.

Jestem wodą, powietrzem, jestem jak muzyka
nierozłamana na dźwięki.

WIEŚĆ

Niechże cię żadne oko ludzkie nie zapomni,
Niechże cię żadne ucho ludzkie nie zapomni,
Miasto bolesne! Rośnij w pamięci potomnej
Na zgliszczach lat, w podaniach szczerniałe, ogromniej!

Doły w ziemi grudniowej. Tu zwalono trupy,
Niebo żelazne nad zamarzniętym zagonem.
Milami biegną drogą ośnieżone słupy.
Baszty ołopotane dzikim wrzaskiem wronim.

Jest za miastem szerokie pole. Tam wiatr brzęczy
W blaszanej chorągiewce. W głuchych jarach hula
Zadymka. W polu zagon przy zagonie klęczy:
Schylone grzbiety w śniegu rozdartych koszulach.

Widzę ich jeszcze dzisiaj: własnymi rękami
kopią doły. I zanim zastygną ich ciała,
Inne ręce zasypią... i cicho z grudami
Pomiesza się śnieg. I zamarznie pustka biała.

Pożar wymiótł uliczki krzywe, gniazda nędzy,
A potem śnieg zasypał wypalone rżysko.
Śmierć. I ogień przetoczył tu od śmierci prędzej
Swe asenizacyjne wozy — i jest czysto.

Żegnaj, miasto męczeńskie! Na skrzydłach pożaru,
Raz jeszcze wzlatujące ku niebu. Raz jeszcze
Spotykamy się dzisiaj w tej wizji złowieszczej,
Którą jak ogień tłumię sam. Nie chcę słów czaru.

Ale o tobie nie zapomnę, smutny domie
Dzieci, o was, bielone ściany sierocińca. —
Warknęły ciężkie auta wśród ciszy dziedzińca,
Szczęknęły krótkie zdania w godzinie wiadomej.

O sto mil biegną słupy, o sto mil noc, miasto
Ośnieżone, we wieńcach wron złote kopuły.
Huczy pociąg, trzaskają szyby, w oknach jasno
Od pożaru, żelaza lodu szkło okuły.
Sto mil, sto słupów — nigdy i nigdzie wytchnienia.
W noc słuchają o rzezi i milczą przy stołach.
I nic nie skruszy muru strasznego milczenia —
Widzą ciemność i słyszą milczenie dokoła.

W OCZACH POETÓW I DZIECI

JULIAN PRZYBOŚ

PÓKI MY ŻYJEMY

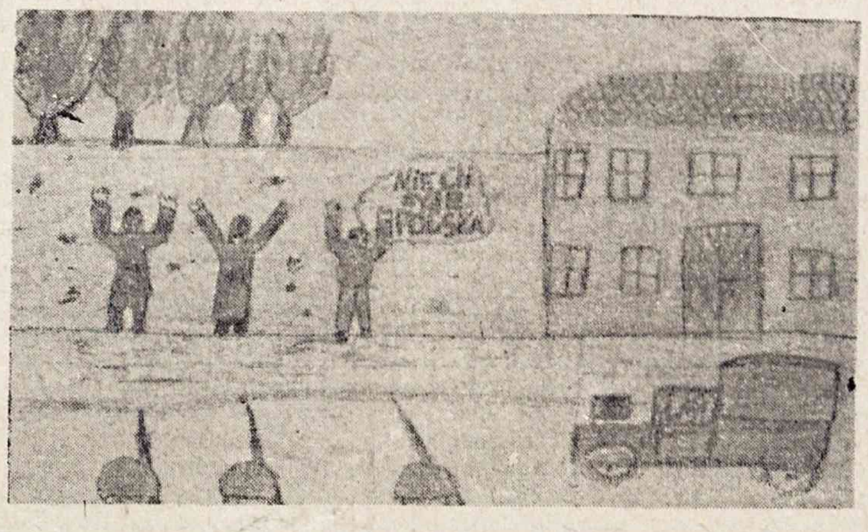
Huk armat na wysokość lun
wzrósł,
niebo wali się z trzaskiem.
Bezbronny, wbity pociskami w grunt
błagam o karabin jak skazaniec o łaskę,
i tylko krzyczę — niecelnie,
z rannych i z martwych wstawszy.
Mój wzrok po torach bomb strącony w gruz
przypada do Warszawy.

Aż w rozpękły na dwoje słuch
płacz mężczyzn wpadł — i ich, jak nabój, milczenie.

W tej chwili zginął mój brat.

Żegnam was, unoszący za granicę głowy,
uciekający do broni,
gdy tu, w rozwalonym schronie,
z jeszcze żywych ostatniego tchu
odtworzyłbym nasz hymn narodowy.

Wrzesień 1939 r.



URSZULA KOPER (lat 9):
Egzekucja



ADAM WIŚNIEWSKI (lat 12):
Rozstrzeliwanie Polaków przez Niemców

CZESŁAW MIŁOSZ

MIASTO

Nad ruinami wstaje dzień, wędrowny grajek pustym oknom gra,
Z głową na bok schyloną skoczne tony ze skrzypki wywodzi.
A w oknie tylko niebo, gołębi miga ćma,
I tak w tej rannej ciszy świat nowy się rodzi.

I wiatr, gdy struny drutów pękły, martwe drzwi otwiera,
Na których klamce dotąd pozostał niezmyty
Ślad ręki poległego na gruzach bohatera
I toczy po pokoju dziewczyny zabitej
Sczesany z włosów puch.

A serce bije. Słuchaj. Jest w tym dziw nad dziwy,
Że ono trwa, gdy wszystkie oczy patrzą — nowe,
Że wygrzebaną spod cegieł pokrywy
Stopioną w ogniu na drzwiach wieszają podkowę.

Na inne szczęście. Słuchaj. I radość i wstyd
Żyć jeszcze raz, na nieobeszłej ziemi,
Powracać i ślubować, gdy kasztan będzie kwitł,
Winy dawne odkupić czynami lepszemi.

Bólu prawdziwy, sławo i niesławo,
Ty wielka, że godna jesteś jedynie milczenia,
Brzękiem słów pustych twego nie dotknie imienia,
Kto tęsknił, wie. Nie powie nic. Warszawo.

O bolesna. Na gruzach praskich grająca kapela,
Mosty w dymach i serce bijące — i to wszystko.
I los — jak niebo, kiedy się rozdziela
Linią ognistą.

Że po raz drugi kształt nam ludzki oblec dano
I witać światłem buchające wieki,
Ty, żyjący, nie pytaj tamtych, co to znaczy.
Z pól, gdzie hełmy im rdzawią topniejące śniegi,
Z barykad, z placów trawą zarosłych powstaną,
Życia twojego żaden ci z nich nie przebaczy.

Grajku poranny, komu ty tak grasz,
Tam są schody bez domu i piętra bez żywych,
Tobie gram, najpiękniejsze z urojonych miast
I najsmutniejsze z prawdziwych.

1940 r.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

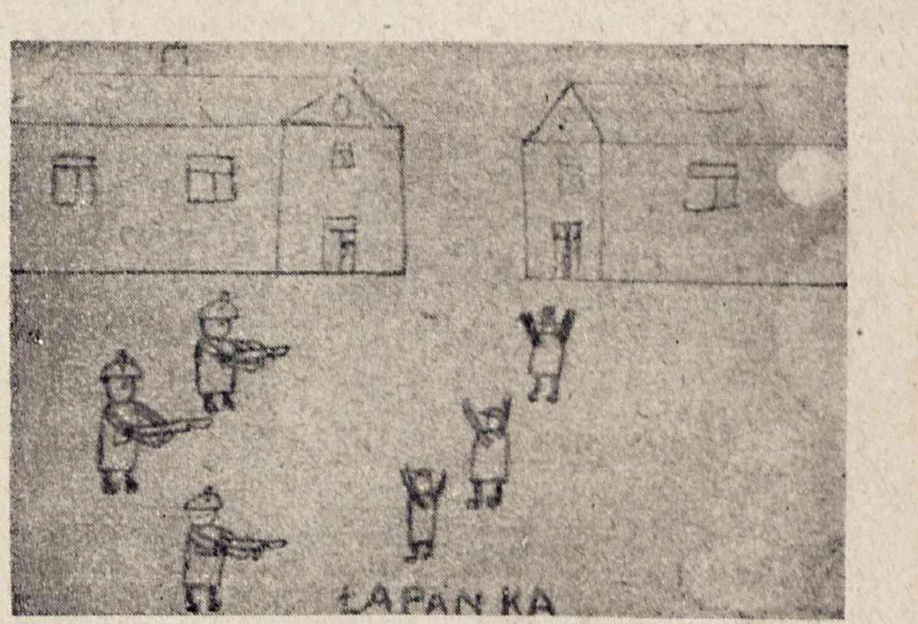
* * *

Syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni,
O czym i jak mam śpiewać, gdy dom mój — ruiny i zgliszcza?
Jak czołg, przetoczył się wrzesień ziemi ojczystej przez piersi,
a moja dłoń jest bezbronna i bezbronna jest ziemia ojczysta.

Ja na tę ziemię powrócę, ja chcę ją zbawić, ocalić,
stamtąd chcę światu płonąć serca i pieśni pożarem,
chcę, żeby z gruzów Warszawy rósł żelbetonem socjalizm,
chcę, żeby Hejnał Mariacki szumiał czerwonym sztandarem.

Dumna i piękna Warszawo, chwała twoim ruinom,
chcę zliczyć i ucałować twoje męczeńskie cegły.
Podaj mi dłoń, Białoruś, podaj mi dłoń, Ukraino,
wy mi dacie na drogę wasz sierp i młot niepodległy.

Łuno wolności ludów, moc w zaciśniętej pięści!
Przeminą dni niedalekie i będzie się świat równieśnił.
Piszę dłonią bezbronną, groźną, chociaż się nie mści,
syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni.



BENON BROCHOCKI (lat 10):
Łapanka

JERZY PUTRAMENT

PRZEJŚCIE NIEMIECKICH CZOŁGÓW

Na niebie ktoś jak kwiaty zrywa grabów pęki.

Wypadły z lasu chmurą huku, w huku rosły,
zadygotały głazy dróg, jęknęły, pękły.
A te przed siebie w bieg, jak piorun prosty.

Którędy pęd ich przejdzie, co zostanie?

I oto bure bryły, ryje, grube garby,
niezgrabny podryg w górę, grom, ochrypłe granie,
żelaznych warg po ziemi rumor twardy.

Rozwarte gardła armat, ryży żar i wybuch.

Dopadły oniemiałej wsi, porwały, zżarły
z drzew drzazgi, chaty w proch obuchem trybów.

Tam jeszcze biel i zieleń, tutaj orkan czarny.

I już huraganową dzień odwrócił kartę,
tylko z tyłu motocykl, szakal, szosą załkał.

Na drodze leży dziecko, oczy półotwarte,
w rączce lalka.

1941 r.

ANTONI SŁONIMSKI

SĄD

Wiejska biedota bezrolna,
Co śpi pod polną mogiłą,
Ci, co walczyli za wolność,
Której w ojczyźnie nie było.

Z Bema, z Grochowa i z Wolskiej
Bracia, co padli krwią zlani,
Ci, co walczyli za Polskę,
Choć Polska nie była dla nich.

Nie usną snem sprawiedliwym,
Ukołysani legendą,
I z mogił powstaną żywi,
I oni sądzić nas będą.

ADAM WAŻYK

RUINY BIEŁGORODU

Nie na piaskach pustyni, lecz w uścisku zieleni
obumarłe widziałem miasto —
białe mury w dziesięciu tysiącach przestrzelin
poślubione leniwym chwastom.

I dziewczynę widziałem pod murami bez wnętrza,
przez rozbite czołgi niemieckie
szła objęta słodyczą wiosennego powietrza,
była snem, a ja byłem dzieckiem...

I wołałem, że mury się nagle zapadną,
wołając wyciągałem ręce
pod rozbitych bram łukiem, pod zwycięską arkadą,
gdzie spokojnie biło jej serce.

O, jak dobrze jest widzieć w białem mieście umarłem
cmentarze rdzawego żelastwa!
Ja żelazo popsute z twardej ziemi wydarłem —
była na nim krew mego miasta.

1944 r.



STANISŁAWA JANKOWSKA (lat 12):
Więźniowie idą do pracy

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

DO SYNA

Nie szukaj w moich oczach kształtu dla spojrzenia,
niech wzrok twój ponade mnie do światła dorasta.
Bo w moich oczach żyją po umarłych cienie,
A ciemność rozjaśniają palące się miasta.

Nie pytaj mego serca jak sercem uderzyć,
by wzruszyć grudkę ziemi, z niebem zawrzeć przyjaźń.
Bo serce moje było w tej wojnie żołnierzem
i z miłości już tylko potrafi zabijać.

Gdy jak ja pośród śmierci, zbłądzisz w życiu własnym,
to nie pytaj o drogę żadnej strony świata.
Bo one czerpiąc wiedzę z mojej wyobraźni
nie będą ci umiały wskazać lotu ptaka.

Ażebyś miał myśl celną, dłoń nie pokonaną,
to spal moje marzenia tak, jak spalisz kości.
Ty nad ogromnym morzem krwi w wojnie przelanej
zbudujesz dla Ojczyzny trwały port wolności.

Gdy zapragniesz, to pragnij słońca i pogody
i tak zaufaj Ziemi, jak ja ufam gwieździe.
Byś dłonią uzbrojoną w własny tylko dotyk
pokonał mój niepokój i zdobył me szczęście.

KRZYSZTOF KAMIL BACZYŃSKI

ELEGIA

Mokre gałęzie świerków
przywalą pierś woskową.
Przechodzili, przechodzili, nieśli
za oknami piosenki wojskowe.

Zegar wgarnął wspomnienie
i górą czasu skamieniał.
Przechodzili za oknem, płakali,
po grudzie dzwoniły cienie.

A teraz jakże ująć
strzaskane snów kryształki?
Noc w oczach stygnie — chmurą
Piorun — w twój gromnik
z zapałki.
Jeśli testament — to z liści,
a pomnik jeśli — z płomienia.
Szli w dymu smukłej pieśni,
Gałęzie mokre nieśli.

1941 r.

RENÉ MAUBLANC

Encyklopedia Odrodzenia Francuskiego

Pod koniec bieżącego roku ukażą się w Paryżu pierwsze zeszyty „Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego“. Wyrażamy nadzieję, że to gigantyczne przedsięwzięcie odbije się głośnym echem nie tylko we Francji, lecz daleko poza jej granicami i zadokumentuje wobec świata, że twórcza myśl francuska potrafi oprzeć się kolonizacyjnym dążnościom dumnej, upojonej chwilową potęgą Ameryki i dać światu manifest swej mądrości i swego rozsądku.

Ambitna koncepcja wznowienia, dokładnie w dwa wieki od chwili wydania, pomnikowego dzieła encyklopedystów francuskich, słynnego „Słownika rozumowego nauki, sztuki i rzemiosła“, powstała pod koniec 1944 r. w gronie uczonych, pisarzy, techników i artystów marksistowskich.

W czerwcu 1945 r. w przemówieniu, wygłoszonym podczas jubileuszowych uroczystości, związanych z 200 rocznicą wydania Encyklopedii Diderota i d'Alemberta, znakomity fizyk francuski profesor Paul Langevin, który objął kierownictwo nad pracami encyklopedii, określił cele tego nowego przedsięwzięcia (wyjątki z tego przemówienia zostały opublikowane w Nr. 12 miesięcznika „La Pensée“ — maj—czerwiec 47 r. Całkowity tekst przemówienia zamieszczony będzie w zeszycie programowym „Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego“.

Prof. Langevin, stwierdziwszy na wstępie, że mechanistyczny materializm, na którym opierała się filozofia XVIII wieku stanął w obliczu nieprzezwyciężonych trudności i nie dających się rozwiązać sprzeczności, wykazał w dalszym ciągu swego przemówienia, że idea ewolucji oraz metoda dielektyczna pozwoliły na pokonanie tych sprzeczności. Materializm dialektyczny uzasadnił dziś swą „płodność zarówno w dziedzinie czynu, jak również w dziedzinie poznania“, umożliwiając nawet „rozszerzenie samej metody eksperymentalnej“.

Prof. Langevin zakończył swe przemówienie tymi słowy:

„Starałem się wykazać, jak głębokim przemianom uległy na przestrzeni ostatnich dwóch wieków nasze najbardziej fundamentalne pojęcia, od pojęcia rozumu do pojęcia materii. Przemiany te można porównać tylko z przewrotem w dziedzinie techniki, w głębokim połączeniu i nieustannym oddziaływaniu rozwoju nauki.

Chwila obecna, gdy kraj nasz winien podnieść się po przebyciu strasznej katastrofy, jest wyjątkowo korzystna, by sporządzić inwentarz naszych wartości. Nicią przewodnią, wytyczającą nam cel w trudnym i mozolnym zadaniu i umożliwiającą nawiązanie do ogólnego dorobku filozoficznego postępu ludzkiego, będzie materializm dialektyczny.

Nie zebraliśmy się tu wyłącznie po to, by uczcić godnie 200 rocznicę pamiętnej daty wydania Encyklopedii XVIII wieku. Organizatorzy uroczystości jubileuszowych pragną również, by chwila ta stała się punktem wyjściowym dla akcji, zmierzającej do odnowienia dzieła, które poprzedziło naszą Rewolucję, chcąc w ten sposób podkreślić związek myśli z czynem. Wszyscy winniśmy wziąć sobie to do serca i wytężyć wszystkie nasze siły, by przyczynić się do realizacji wielkiego dzieła“.

✤

Pod kierownictwem prof. Langevina zabrano się z zapałem do pracy. Sekretariat prac powierzono młodemu, wybitnemu filozofowi, Henrykowi Mougin. Jego rozległe wiadomości, głęboka kultura marksistowska oraz rozmach jego wszechstronnego umysłu, zapewnić miały pracom pożądane wyniki. Śmierć tych dwóch mężów nauki (Henri Mougin umarł 11 lipca 1946, Paul Langevin — 19 grudnia tegoż roku) omal że nie spowodowała zniweczenia szczytnego przedsięwzięcia.

Dzieła takiego nie można było jednak zaniechać. Niedługo po śmierci prof. Langevina kierownictwo nad encyklopedią objął Marcel Prenant. Pod jego energiczną ręką poczęły zarysowywać się pierwsze zręby wielkiego pomnika.

Ogólny plan encyklopedii uległ trzykrotnie całkowitej przeróbce. Szczegółowe wyliczenie napotkanych trudności i długich dyskusji, w których staraliśmy się pokonać te trudności, było by niezmiernie pouczające. Ograniczę się tutaj do pewnych ogólnych wskazówek.

Plan pierwotny przewidywał stworzenie systematycznego obrazu ewolucji świata. Biorąc za podstawę najprostsze formy materii, plan ten zamierzał przedstawić stopniowo całokształt form rzeczywistości najbardziej rozwiniętych, najbardziej złożonych, to znaczy, istoty żyjące, istoty myślące i wreszcie dzieła ducha ludzkiego. Jednakże wkrótce okazało się, że w obecnym stanie naszych wiadomości, zwłaszcza z dziedziny humanistyki, takie zamierzenia, aczkolwiek zgodne z duchem materializmu dialektycznego, są przedwczesne. Realizując nasz pierwotny plan bylibyśmy zmuszeni albo odtworzyć niepełny obraz ewolucji świata, z licznymi lukami, podobnymi do białych plam w dawnych atlasach, albo zastąpić zdobyte prawdy przedwczesnymi hipotezami, co obniżyłoby wartość dzieła.

Wobec tych trudności powstał z kolei zamiar, by dzieło nasze przybrało zwyczajną formę encyklopedii o układzie alfabetycznym. Lecz tutaj oczekiwały nas nowe trudności. Z jednej strony alfabetyczne rozczłonkowanie słownika pozbawiłoby go charakteru aktualności, zwłaszcza w wypadku, gdy chodzi o wydawnictwo obliczone na szereg lat! Z drugiej strony należało by przed rozpoczęciem publikacji sporządzić możliwie jak najbardziej dokładny spis haseł i definicji. Takie rozwiązanie byłoby sprzeczne z duchem nowego wydawnictwa, które w myśl zamierzonego celu miało być encyklopedią otwartą, kroczącą śladem nauki, a nawet wyprzedzającą jej rozwój.

Ostatecznie przyjęto wniosek Marcela Prenant, by wydać zbiór encyklopedyczny, złożony z oddzielnych zeszytów. Program taki umożliwiał stopniowe wzbogacanie, rozszerzanie, a nawet dokonywanie poważniejszych zmian w zebranych materiałach w miarę zdobywanego doświadczenia i rozwoju badań. Przyjmując program Marcela Prenant mogliśmy przystąpić natychmiast do prac wydawniczych, nie czekając na rozwiązanie pewnych zagadnień nowych, które się wyłoniły w trakcie dyskusji komitetu redakcyjnego. Nowy charakter wydawnictwa, przedstawiającego całokształt badań w dziedzinach najbardziej różnorodnych, umożliwiałby zainteresowanie się encyklopedią najszerszych warstw społeczeństwa, udostępniając nabywanie poszczególnych działów wydawnictwa tym, którzy już to ze względów finansowych, już to z powodu braku zainteresowania, nie zamierzają nabyć całego dzieła. Miałby on również tę wyższość nad istniejącymi w sprzedaży kolekcjami encyklopedycznymi, że w tej nieskończonej różnorodności przedmiotów czytelnik znajdzie jednolitą metodę i jednolity kierunek tendencji.

Wstępny zeszyt encyklopedii zredagowany przez Marcela Prenant przy współudziale innych członków komitetu redakcyjnego zawierać będzie wytyczne dla całego dzieła oraz główny zarys planu wydawniczego.

„Komitet redakcyjny — pisze Marcel Prenant — zakreślił sobie trzy główne cele: encyklopedia winna być syntezą wiadomości humanistycznych; winna być środkiem do dalszych badań; winna stanowić broń intelektualną“.

Wyjaśniając te trzy zasadnicze pojęcia Marcel Prenant pisze w dalszym ciągu:

— „Chodzi nam o syntezę, nie o sumę wiadomości, chodzi nam nie o zebranie nagromadzonego przez erudytów materiału, lecz o przedstawienie najnowszych wyników, dotyczących danego problemu, w oświetleniu metody marksistowskiej i o wskazanie, co w danej dziedzinie jest jeszcze do zrobienia.

Poszczególne zeszyty encyklopedii nie ograniczą się do zestawienia zdobytej wiedzy; winny one zwrócić uwagę na kierunki niedostatecznie jeszcze zbadane, na idee nowe; winny postawić pytania, które dotychczas nie uzyskały wystarczających odpowiedzi. W ten sposób „Encyklopedia Odrodzenia Francuskiego“ stanie się środkiem służącym do dalszych badań.

Plan wydawnictwa, aczkolwiek opracowany z całą starannością, nie jest nienaruszalny. Ani życie, ani nauka nie wstrzymują swego biegu w czasie publikowania kolekcji. Nowe odkrycia, wielkie wydarzenia dziejowe, zmuszą nas do przeprowadzenia zmian w mniejszym lub większym stopniu w poszczególnych działach wydawnictwa. Nie ukrywamy nadziei, że encyklopedia przyczyni się w ten sposób do dalszych badań i do dalszego rozwoju nauki. Stanie się ona warsztatem przygotowującym ciągle nowe zastępy pracowników, którzy kontynuować będą wielkie dzieło. Dzieło to bowiem obliczone jest na długie lata, ba, jest nieograniczone w czasie.

„Encyklopedia Odrodzenia Francuskiego“ ma służyć wreszcie jako broń intelektualna. Komitet redakcyjny przyjął za dewizę, przyświecającą pracom nad zagadnieniem tego wydawnictwa, zdanie prof. Langevina, zdanie inspirowane zresztą przez materializm dialektyczny, które głosi, że: „myśl rodzi się z czynu i u człowieka zdrowego wciela się w czyn“. Zadanie człowieka polega nie tyle na wyjaśnieniu zjawisk świata, ile na przekształceniu ich zgodnie z celami człowieka“.

Wydawnictwo „Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego“ obliczone jest na około 1.000 zeszytów. Po długich i licznych dyskusjach, w trakcie których plan wydawnictwa uległ kilkakrotnie gruntownym zmianom, ustalony został podział na trzy główne części: nauka o świecie, rozwój społeczności ludzkich i społeczność współczesna. Część pierwsza obejmuje nauki tradycyjne: matematykę (około 20 zeszytów), astronomię (20), fizykę (50), chemię (50), naukę o ziemi (20), biologię (50), biologię człowieka i medycynę (50), psychologię (20). W części drugiej przewidziano 30 zeszytów na metody poznania rozwoju społeczności (metoda humanistyczna, historyczna i socjologiczna), 150 na historię, 70 na literaturę, 150 na sztuki piękne; 50 na filozofię. Część trzecia i ostatnia dzielić się będzie na ekonomię polityczną (ok. 60 zeszytów), geofrafię (100), strukturę społeczną (30), prawo (30) i politykę (30).

Jak widzimy więc, sam układ wydawnictwa jest prosty i nie sili się na żadną oryginalność. Komitet redakcyjny dążył właśnie do tego, by uniknąć wszelkiej sztywności w klasyfikacji, cechą bowiem istotną metody materializmu dialektycznego jest podkreślenie rozlicznych stosunków i wzajemnych wpływów zachodzących w zjawiskach natury, w przedmiotach, w istotach żyjących, w myślach i czynach ludzkich, a w konsekwencji w samej nauce. Każdy marksista wie dobrze, że wszelkie przejawy działalności ludzkiej, bez względu na to czy chodzi o odkrycia praw fizyki, czy ujęcie doktryny religijnej, muszą być badane i wyjaśnione w związku ze środowiskiem, w którym powstały, z uwzględnieniem warunków politycznych, społecznych i gospodarczych. Metoda ta nie może obejść się bez współpracy historyka. Jeżeli więc w części drugiej układu ogólnego umieściliśmy historię obok literatury, sztuki i filozofii — to fakt ten bynajmniej nie oznacza, że uważamy historię za dyscyplinę niezależną, którą należy zamknąć na jej własnym podwórku.

Inny przykład dawnego błędnego podziału, którego chcieliśmy uniknąć, dotyczy nauki i techniki. W klasyfikacji naszej nie uwzględniliśmy osobnego działu techniki. To jednak wcale nie znaczy, że skreśliliśmy ją z programu. Wręcz przeciwnie: stanęliśmy na stanowisku, że nauka i technika są z sobą związane w sposób nierozerwalny na skutek ustawicznego, wzajemnego oddziaływania jednej na drugą. Jeżeli więc w części pierwszej widzimy matematykę, fizykę lub chemię, to należy czytać: nauka i technika matematyczna, fizyczna lub chemiczna.

Przyjęta metoda zmuszała nas więc często do opracowywania poszczególnych zeszytów przy współudziale badaczy, którzy w normalnych warunkach pracują niezależnie od siebie. Tak np. prawo własności było dotychczas przedmiotem oddzielnych badań prawników, moralistów, czy filozofów. Koordynując współpracę prawnika, filozofa i historyka, sądzimy, że damy zeszyt bogatszy, rzucając nowe światło na problem własności.

Nie mniejszą nowością będzie opracowanie problemu, związanego z naftą, przy współudziale chemika, geologa i ekonomisty. Współpraca matematyka i teoretyka estetyki nad zagadnieniem perspektywy w rysunku i malarstwie da niewątpliwie nowe ujęcie zagadnienia. Podobnie będzie z całym szeregiem innych zagadnień.

Przykłady powyższe ilustrują najlepiej cele, jakie sobie wytyczyło nowe wydawnictwo. Jasne jest, że pracy takiej nie można improwizować i że opracowanie jednego zeszytu encyklopedii wymagać będzie więcej trudu, aniżeli napisanie wielkiego dzieła o charakterze popularyzacji naukowej.

✤

Pomimo tych ogromnych trudności „Encyklopedia Odrodzenia Francuskiego“ przybiera kształty realne. Pierwsze zeszyty, które zaczną wychodzić w najbliższych miesiącach, są niezmiernie różnorodne: teoria ewolucji, rak, witaminy, astronomia, elektroliza, impresjonizm, sztuka i rozum, język, prawo strajku, wartość, Pascal, kino, Afryka Północna itd. Oto kilka haseł, które będą przedmiotem nowego opracowania.

Wysokie walory współpracowników, którzy z zapałem poświęcili swe wysiłki, każą nam żywić nadzieję, że „Encyklopedia Odrodzenia Francuskiego“ osiągnie cel, który jej nakreślił Marcel Prenant w zeszycie wstępnym:

„Pierwsza encyklopedia francuska, encyklopedia Diderota i d'Alemberta była ostatnim wyrazem ówczesnej wiedzy humanistycznej i rozumu ludzkiego. (...) Była ona odbiciem ówczesnej burżuazji, klasy, wchodzącej na arenę życia politycznego, zawdzięczała stopniową emancypację wobec świata feudalnego — swej działalności ekonomicznej i znajdowała się w przededniu zupełnego uniezależnienia dzięki zdobyciu władzy politycznej. Encyklopedia XVIII wieku dała tej nowowznoszącej się klasie jasną świadomość jej głębokiej siły: była bowiem istotnym zarzewiem ruchu rewolucyjnego.

W ciągu dwóch ostatnich wieków ludzkość dokonała głębszych przemian, aniżeli przedtem w ciągu całego okresu prehistorycznego (...). Wyjątkowe tempo rozwoju techniki szło w parze z wyjątkowym tempem rozwoju społecznego. Po raz pierwszy w historii klasa panująca, ta sama, która w okresie swej rosnącej siły była inspiratorką Wielkiej Encyklopedii, znalazła się w stanie wyczerpania po upływie zaledwie dwóch wieków. Ta zaś klasa, która staje się spadkobierczynią pierwszej, powstała i dojrzała w tym samym czasie, zdobywając władzę polityczną nad przeszło jedną szóstą części świata. Wysoki rozwój techniki dzisiejszej pozwala nam przypuszczać, że z przewrotu, którego jesteśmy świadkami, powstanie ludzkość odrodzona, po raz pierwszy w historii świadoma pełni praw, rządzących naturą i po raz pierwszy w historii zjednoczona w panowaniu nad tymi prawami.

Wyrażając szacunek i podziw dla encyklopedystów XVIII wieku, chcemy być ich kontynuatorami i w tym celu pragniemy dać światu nowy bilans i nowe ujęcie sytuacji obecnej, wyrażając życzenie, by nowa encyklopedia stała się dla odrodzenia Francji tym, czym była dawna dla Rewolucji Francuskiej.

„Encyklopedia Odrodzenia Francuskiego“ urzeczywistni swój imponujący program tym szybciej i tym gruntowniej, ponieważ może liczyć na twórczy współudział tych wszystkich, którzy poza granicami Francji podzielają nasze idee i pracują nad wykonaniem tego samego zadania. Pomoc ich jest nam potrzebna. Możemy być pewni, że nam jej nie odmówią.

René Maublanc

Przekład **Ludwika Nortowskiego**

KONKURS

Komitet Wykonawczy „Roku Chopinowskiego” 1949.

Rada Naczelna Zjednoczenia Polskich Związków Śpiewaczych ogłasza Konkurs Muzyczny na utwór chóralny do tekstu literackiego o życiu i twórczości Fryderyka Chopina.

Mogą to być następujące utwory chóralne:

1. Kompozycja na 4-ro głosowy chór mieszany a capella.
2. Kompozycja na 4-ro głosowy chór męski a capella.
3. Kompozycja na chór męski lub mieszany ewentualnie solo z towarzyszeniem orkiestry lub zespołu kameralnego.

Skład sądu konkursowego:

Lasocki Józef,
Kołaczkowski Jerzy,
Raczkowski Władysław,
Rudziński Witold,
Wiechowicz Stanisław,
Wroński Witold.

NAGRODY:

I nagroda	w wysokości	120.000.— zł
II „	„ „	90.000.— zł
III „	„ „	60.000.— zł

Oraz jedno wyróżnienie — 30.000.— zł., dwa wyróżnienia po 15.000.— zł i dwa wyróżnienia po 10.000.— zł.

Nagrodzone i wyróżnione utwory będą wydane z funduszów Komitetu Roku Chopinowskiego oraz będą wykonywane przez chóry na koncertach, uroczystościach i konkursach śpiewaczych, organizowanych w roku 1949. Teksty literackie wybrać i otrzymać można w biurze Komitetu, Warszawa, ul. Zgoda Nr 15, II piętro.

Kompozycje w zalakowanych kopertach, opatrzonych godłem (wewnątrz druga zalakowana koperta z nazwiskiem kompozytora) należy nadsyłać do dnia 4 listopada 1948 r. na adres Rady Naczelnej Zjednoczenia Polskich Związków Śpiewaczych, Warszawa, ul. Młodzieży Jugosłowiańskiej Nr 2, I piętro. K. 36-1

WOJCIECH ŻUKROWSKI rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca

20)

— Myślisz, że nie damy sobie rady? Przekonasz się, że w krótkim czasie wszystko znów będziemy mieli. Dla tych biedaków teraz jedyna szansa, bo cóż oni potrafią? Charowali przez całe życie i nie dorobili się niczego. — Dotknął dłonią czoła. — Tu mam plan nowego domu, sto razy milszego od tej landary. Nie myśl o Walerci, nie warto... Niech ci się wydaje, że straciłaś już dawno te rzeczy, że zabrała wojna.

✤

Łucja szła powoli z księdzem przez park. W dole zawodziła harmonia,



wyżej, na stoku, między drzewami krzyczały dzieci. Śnieg jarzył się w słońcu, sypał iskrami. Pachniały mocno świerkowe gałązki.

— Niech pani mnie to zostawi, wiem, że pani trudno było by z matką rozmawiać. Spróbuję jej to ostrożnie powiedzieć...

— Och, księże — szepnęła Łucja z wdzięcznością — Dotąd sobie robię wyrzuty, jak mogłam być tak nieostrożna, po co brałam ze sobą Marynię...

— Trudno, widać tak jej było sądzone...

— Ale dlaczego właśnie ona ginie, takie dobre dziecko... To jest okrutne...

— Nie wiem, nie mam prawa sądzić wyroków boskich. Trudno dziś stwierdzić czy to jest kara, czy próba... Może Ratajczakowa znajdzie w sobie odpowiedź.

Po stoku zbiegała ku nim Celinka. Twarz jej miała grymas fanatycznej nienawiści.

— Gdzie idziesz? — zawołała Łucja.

Dziewczyna wzdrygnęła się jak przebudzona, przystanęła na moment.

— Zaraz wracam.

Skręciła, biegła omijając ich z daleka.

— Co jej się stało? Niedobrze jej z oczu patrzy, leci jakby ją diabeł gonił — popatrzył ksiądz za zbiegającą po stoku.

— To samo pomyślałam, żeby jakiegoś nieszczęścia nie było...

— Za mało się nimi zajmowałem — zamruczał ksiądz Bazyli — właściwie nie znam jej, ani Tadka...

Przeszli jeszcze parę kroków, nagle Łucja wybuchnęła:

— No i jaki to miało sens, po co się tak męczyłam, po co ryzykowałam życie swoje i drugich? Czy po to, żeby w końcu pokazało się, że cała ofiara na nic? Zmarnowałam dziecko! Zamiast pieniędzy przyniosłam śmierć!

Ksiądz popatrzył na wzburzoną twarz Łucji, na wargi z gorzką bruzdą cierpienia.

— Dziś pani tak mówi, dziś jeszcze pani nie pojmuje wartości tej nocy, którą pani przeżyła. Bo to nie ważne, czy pani przyniosła pieniądze, czy pani osiągnęła to czego pani pragnęła. Ważna jest sama ofiara, a pani poświęciła siebie, kładła pani swoje życie za sprawę dzieci!



Człowiek jest tylko tyle wart, ile jest gotów dać drugim, ile naprawdę im daje. Pani chciała dzieciom dopomóc, ochronić je przed głodem... Ta noc była wielką próbą, czy pani pojmuje? Zwyciężyła pani siebie, zna się pani już do dna. Zdobyła pani dla siebie skarb, który może dopiero po latach pani oceni! Jak to dobrze móc sobie zaufać. Może kiedyś będzie dla pani ta noc wielkim pokrzepieniem... Może pamięć tych dni podniesie panią z jakiejś słabości...

— Księże, jestem tak straszliwie spustoszona, u kresu sił, samotna, jak nigdy...

— Nieprawda, nie jest pani samotna. Wierzący nigdy nie jest samotny! Czyż pani nie widzi Ręki litościwego Ojca, która i nad panią zawisa? Myślała pani: wszystko dla dzieci zrobię, ja sama, ja — Łucja! I nie przyniosła pani nic, ażeby je nasycić, a jednak mają dziś co jeść. I na dziś i na jutro. Upokorzono panią.

Łucja stała z opuszczoną głową.

— Niech pani zaufa tej Ręce. Każdy z nas musi się dźwigać ze wszystkich sił, musi próbować, ale ta Dłoń Miłosierna jest naszą nadzieją i pokrzepieniem. Prośmy, żeby nam błogosławiła.

Szli ścieżką w milczeniu.

— A jednak zostanę tu sama.. Wszyscy po trochu rozjeżdżają się, pani Wacława już uciekła, Nahorayscy się pakują, za parę dni i Ratajczakowa z córką wrócą do Poznania... A co ksiądz myśli robić?

— Zostaję tutaj, dopóki mnie Kuria nie odwoła. Widzi pani, nie poszedłem nawet, żeby się z nią pożegnać... — mówił w zamyśleniu.

Mimo, że nie wymienił imienia, Łucja wiedziała o kim mówi, przyjrzała mu się uważnie. Twarz miał poważną, jakby trochę postarzałą.

— Żegnać się z kimś, to tak, jakby się miało jeszcze nadzieję, kiedyś powitać... Cóż, wszyscy jesteśmy ludźmi, i my, księża mamy też swoje słabości, potrafimy błądzić... Ale jednak, gdybyście nas zapytali co jest dobre, a co złe, odpowiemy nieomylnie. I to będzie głos Kościoła. I będziemy wam to mówić, uporczywie, natrętnie, choćbyście tego nie chcieli, tyle jeszcze potrafimy...

— Więc co ksiądz myśli o tym wszystkim co się dokoła nas dzieje, jak ksiądz to osądza?

— Idę z moimi wiernymi, bez owiec nie byłbym pasterzem.

— Trudno będzie księdzu pracować, znaleźć wspólny język...

— Trzeba z ludem żyć, to więcej znaczy jak nauki, żyć — to się wzajemnie wychowywać. Ani mnie, ani pani, nie wolno się od tego uchylać...

— Panna Łucja! Panna Łucja idzie! — rozległ się nad nimi radosny wrzask dzieci. Zbiegały z góry ze śmiechem, kurzył się za nimi sypki śnieg. Spadły na Łucję gromadą. Wieszały się jej na szyi, czepiały ramion, aż przyklękła. Czuła bijący od nich zapach ubóstwa. Była mocno wzruszona, gdy zaczęły ją całować po oczach i karku. Oddawała pocałunki, tuliła dzieci do piersi.



— No, dajcież jej spokój — zawołał ksiądz Horbaczewski. — Udusicie pannę Łucję!

Powoli uścisk się rozluźnił. Dzieci złapały się za ręce, zaczęły tańczyć na śniegu w kółko i śpiewać piskliwie:

Stoi Różyczka w mirtowym wieńcu
kłaniamy jej się jako książęciu,
ty Różyczko strzeż się strzeż,
Kogo kochasz tego bierz!

Łucja wyciągnęła ramiona, rzucił się w nie Włodzio Aniserewicz.

— Mnie! Mnie! Ja się nie mogłem do pani docisnąć!

Łucja podniosła go wstając. Wzdrygnęła się, poczuła na szyi dotknięcie drucianego haczyka, którym ją objął.

— Ja pani powiem wielką tajemnicę! — szeptał jej w ucho. — Znalazłem rewolwer, prawdziwy rewolwer...

— Gdzie?

— Koło świerków, w śniegu.

— I co z nim zrobiłeś?

— Panna Celinka ode mnie go pożyczyła

— Niechże pani nie dźwiga tego klocka — zawołał ksiądz. — Jak ci nie wstyd, stary koń i pcha się na ręce!

— To nie ja, pani sama mnie wzięła!

— No, idźcie się teraz bawić, zaraz do was przyjdę!

PAWEŁ ETTINGER

NAJNOWSZA FAZA POLSKIEJ LITERATURY EXLIBRISOWEJ

Nie mam możności stwierdzić dokładnie, jak wobec tylu kryzysów najróżnorodniejszego rodzaju obecnie przedstawia się w Europie i USA zarówno kolekcjonowanie exlibrisów jak i kwestia badania ich dziejów w przeszłości, która w dwudziestoleciu między dwiema wojnami światowymi miała na swe usługi cały szereg zrzeszeń amatorów i dość obszerną prasę oraz literaturę.

W Związku Radzieckim, gdzie w wymienionym okresie, poza licznymi oddzielnymi publikacjami, zaj-



Drzeworyt Włodzimierza Faworskiego

mującymi się tą specyficzną dziedziną sztuki graficznej wychodziło doskonale redagowane czasopismo p.t. „Trudy Leningradzkowo Obszczestwa Exlibrisystów", od dość dawna można zauważyć zupełny prawie zanik jakiegokolwiek zainteresowania sztuką exlibrisową. Stowarzyszenia miłośników exlibrisów w Moskwie i nad Newą znikły, ilość zaś zbieraczy dawnych i współczesnych znacznie zeszczuplała. W ciągu kilkunastu ostanich lat ani jedna książka lub broszura nie została poświęcona temu przedmiotowi.

Zupełnie odmiennie przedstawia się ta sprawa w Polsce. Oto leży przede mną bez mała tuzin rozmaitych publikacji exlibrisowych z lat ostatnich, które prawdopodobnie nie wyczerpują nawet kompleksu najświeższej literatury tego przedmiotu.

Nielada zainteresowanie obudziła swego czasu wiadomość, że podczas okupacji kilku warszawskich miłośników sztuki exlibrisowej w niej szukało wytchnienia w okresie ucisku faszystowskiego.

W r. 1942 nakładem kilkunastu egzemplarzy wyszły dwie bardzo starannie zmontowane broszury maszynopisowe Jerzego Krama „Prace exlibrisowe Marka Brudnickiego" oraz „Henryk Gaczyński jako exlibrisista", zawierające omówienie krytyczne oraz odbitki oryginalnych prób twórczości exlibrisowej tych dwóch grafików. Trzecią, nader cenną pozycją tej grupy wydawnictw maszynopisowych była praca o exlibrisach polskich XVI w. Edwarda Chwalewika, autora znanego dwutomowego dzieła „Zbiory Polskie w Ojczyźnie i na Obczyźnie" (1926 — 1927) oraz przed wojną jeszcze do druku przygotowanych „Materiałów do inwentaryzacji exlibrisu polskiego XVI — XIX wieku" — dokładnego opisu dwu tysięcy z górą znaków książkowych, które w wyczerpujący pono sposób mają dopełnić przestarzałe już od dawna dwa tomy „Exlibrisów polskich" Wiktora Wittiga z lat 1903 i 1907. Wprawdzie rękopis dzieła Chwalewika spłonął podczas powstania w 1944 r., autor jednak z resztek, jakie się uratowały, zdołał odtworzyć go na nowo. Miejmy nadzieję, że ta z dużym zainteresowaniem oczekiwana praca, w niezbyt dalekiej przyszłości ukaże się w druku.

Nie wypadnie jej chyba tak długo czekać z wyjściem na świat, jak albumowi „Polski Exlibris w Moskwie w roku 1922". Dzieło to wydane przez „Towarzystwo Miłośników Książki" w Krakowie (1946), a rozpoczęte przed dwudziestu cztery laty, stało się teraz drugą niespodzianką po wojnie w grafice małych form. Jest to swego rodzaju pamiątka po komisji, bawiącej w roku 1922 w stolicy radzieckiej celem przejęcia zbiorów Biblioteczno - archiwalnych i artystycznych polskiego pochodzenia, które rząd radziecki zwracał Polsce. W skład tej delegacji między innymi wchodzili: obecny dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej Edward Kuntze, dyrektor Krakowskiego Muzeum Narodowego Feliks Kopera, wyżej wspomniany Edward Chwalewik, obecny dyrektor Archiwum Miejskiego w Warszawie Aleksy Bachulski i — nieodżałowany Kazimierz Piekarski, wyśmienity badacz i znawca starych druków. Z inicjatywy tego ostatniego zamówiono wtedy u wy-



Drzeworyt Tadeusza Cieślewskiego-syna

bitnych grafików radzieckich exlibrisy dla wszystkich członków delegacji i ich bliskich z zamiarem wydania stworzonych ad hoc rycin w oddzielnej książce ze wstępem niżej podpisanego. Jak widzimy impreza Kazimierza Piekarskiego zrealizowana została dopiero po 25 latach, przy czym dzisiaj, wydanie nabrało cech pewnego symbolu graficznego przyjaźni polsko - radzieckiej.

Gdy mowa o krakowskim Towarzystwie Miłośników Książki, trzeba wskazać i na drugie jego wydanie z następnego roku, poświęcone Edwardowi Chwalewikowi, jako seniorowi badaczów polskiego exlibrisu p.t. „Dwa nieznane polskie znaki książkowe z XVI wieku" pióra dr Zofii Ameisenowej. Autorka wraz z wieloma świetnymi pracami badawczymi o miniaturach polskich publikuje ten nieznany dotąd exlibris znanego w roku 1586 opata Jana Po-



Drzeworyt Aleksego Krawczenki

nętowskiego i drugi artystycznie bardziej pociągający, ale anonimowy, herbu Prus.

W tej nowej fali piśmiennictwa exlibrisowego, Poznań nie ustępował Warszawie i Krakowowi.

W skromnej broszurze „Exlibrisy lekarzy" (1947), odbitej w Szamotułach, Olgierd Nawłocki zaznajamia z siedmioma exlibrisami, przedwcześnie zmarłego w roku 1946 malarza i grafika poznańskiego Witolda Gawęckiego. Z jego schedy exlibrisowej autor wybrał jedynie nalepki książkowe, wykonane dla lekarzy; dana więc tu jest jedna z pierwszych prób segregowania exlibrisów według tematyki zawodowej.

Cztery ozdobne publikacje związane przeważnie z nazwiskiem gorliwego bibliofila i zbieracza exlibrisów Tadeusza Lesznera, imponująco odzwierciedlają twórczość bardziej znanego i wybitnego grafika, wybornego rytownika, Tadeusza Cieślewskiego, młodszego, który tragicznie zginął podczas powstania warszawskiego. Jemu zawdzięczamy nader ciepło napisane jeszcze w roku 1945 w Poznaniu i okazale wydane „Wspomnienie pośmiertne" o Ciesielskim synie. Przedmową jego zaopatrzony też jest zeszyt arcypięknych w drzeworycie oryginalnym „Dziesięć Exlibrisów" Tadeusza Cieślewskiego — syna, wypuszczony w b.r. nakładem Warszawskiego Koła Miłośników Exlibrisu i Grafiki. Nakładem Zofii Cieślewskiej w Poznaniu ukazał się dodatkowo jeszcze drugi, analogiczny zeszyt również z dziesięcioma znakami książkowymi zgasłego artysty, ze wstępem Olgierda Nawłockiego. Nareszcie sam Cieślewski występuje i przemawia do nas jako essayista i krytyk artystyczny, doskonale wnikający w samo sedno tworzenia exlibrisu, w nowym, drugim, wydaniu swej książki „Analiza estetyczna drzeworytowych Exlibrisów Jarnuszkiewicza Jerzego" (1946), do której T. Leszner dodał kilka uwag wstępnych. Rozprawa Cieślewskiego, którą on sam określa jako „próbę recenzji wzrokowej", oczywiście wymaga specjalnego krytycznego omówienia i stanowi swego rodzaju odpowiednik cennej, jeszcze za życia wydanej pracy artysty, p.t. „Drzeworyt w książce, tece i na ścianie" (1936), zajmującej poczesne miejsce w literaturze dotyczącej sztuki graficznej.

Do pobieżnie potrąconych w moim przeglądzie publikacyj należy jeszcze dodać, że w Krakowie od dłuższego czasu Zygmunt Klemensiewicz pracuje nad wyczerpującą bibliografią exlibrisu polskiego..

W szerokim kompleksie kultury artystycznej exlibris z natury rzeczy odgrywa rolę niewielką. Ale ponieważ w kulcie jego poza zamiłowaniem do grafiki, często odgrywa rolę czynnik bibiofilstwa, bibliotekoznawstwa i kolekcjonerstwa amatorskiego, sztuce exlibrisowej nie można odmówić znaczenia. Stosunkowo bogaty więc plon polskiego piśmiennictwa exlibrisowego w ostatnich latach, bezsprzecznie stanowi zjawisko dodatnie na niwie kulturalnej.

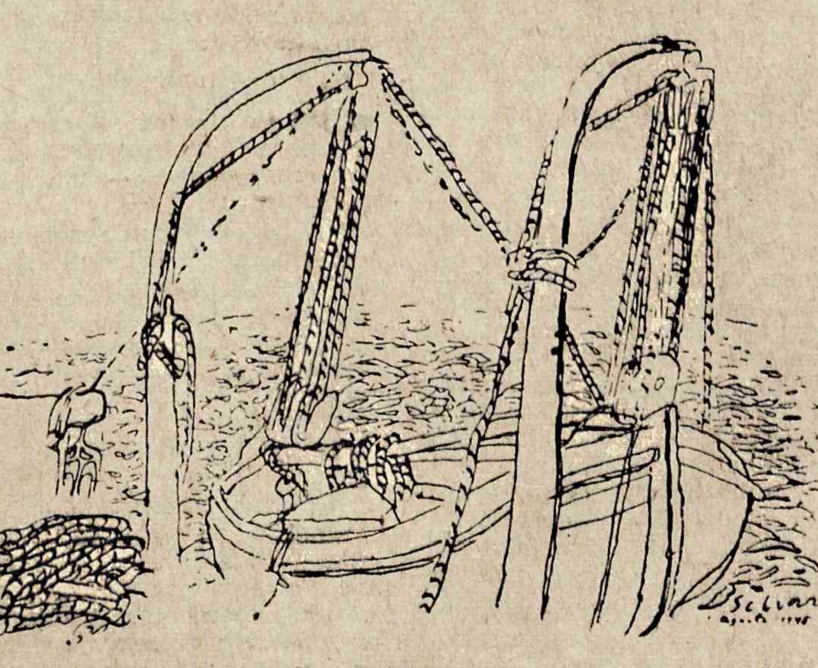
Paweł Ettinger

RYSUNKI CARLOSA SCLIAR





„Pequena historia do mundo"



Łódź

Do Polski przybył na Kongres Intelektualistów we Wrocławiu jeden z najzdolniejszych malarzy brazylijskich, Carlos Scliar

---

— Niech pani nas samych nie zostawia!

— Nie zostawię was już, nie bójcie się! — podeszła do księdza — Celinka ma rewolwer, Włodzio go znalazł w śniegu.

— Ach to pewnie ten Walther, który odebrałem Niemcowi.

— Ale na co jej broń... Była taka wzburzona...

— No, to chodźmy, trzeba do niej zajrzeć, przemówić do rozsądku.

Na podwórzu szalał harmonista. Julka wirowała w objęciach kucharza. Milicjanci siedzieli przy schodach na złoconych krzesłach wyniesionych z salonu i przyglądali się zabawie.

Nagle harmonia zachłysnęła się wściekłym trepakiem.

Kucharz puścił Julkę, podskoczyła, aż jej się zatrzęsły kozie piersi. Zataczała się, cały świat jej wirował przed oczami.

Rosjanin rzucił czapkę na ziemię, zaczął dreptać w miejscu, ale widząc, że Julka chwieje się i chichocze cienko, złapał ją wpół i chciał pocałować. Jednym ruchem zerwał jej chustkę, którą zasłaniała pół twarzy. Błysnęły spod zajęczej wargi długie, białe zęby wyszczerzone w uśmiechu.

Rosjanin odskoczył.

— Tfu — splunął, gdy dziewczyna uciekała z piskiem, — idy k'czortu, jakby się śmierć do mnie zaśmiała!

Schylił się szybko po czapkę.

Płachty na wozach już były potroczone. Kuchnie odjeżdżały.

— Tu jesteśmy! Tutaj, panno Łucjo! — wołały Gabrynia i Stynka siedząc na wozie.

Sędzia wystawił głowę spod plandeki.

— Do widzenia pani! Do widzenia księże kapelanie!

W głębi wozu siedziała na kufrze Nahorayska z twarzą nabrzmiałą od płaczu.

Zapiszczał śnieg pod kołami, załomotały kopyta. Konie zapierając się nogami ostrożnie wstępowały na pochyłość podjazdu.

Z sieni wybiegła Walercia. W ręce miała spory tłumoczek, z trudem wrzuciła go między Nahorayskich.

— To bielizna Krystynki, prosto z prania! — wołała. — Żebyście potem nie mówili, że ją chrzestna okradła! Pa, moje kurczątko, pa!

Wozy zaturkotały po pochyłości.

Ledwie jednak minęli mostek na Siniawce, musieli zjechać na rów i przepuścić rozwleczoną kolumnę piechoty. Szły długie szeregi utrudzonych żołnierzy. Rowem przegalopował patrol telefonistów. Zbity śnieg leciał spod kopyt. Konie w zaprzęgach zaczęły rżeć, najpierw jeden, potem kilka. W głębi doliny jakiś oddział śpiewał. Pieśń rozbita na głosy, wzmocniona echami staczającymi się po ścianach skalnych, huczała jak orkan.

Sędzia podniósł głowę, popatrzył na zamek. Ze szczytu wieży trzepotała się mała, biało-czerwona chorągiewka, ponad nią sunęły srebrzyste chmureczki po bezmiarze wystygłego błękitu.

Nahorayski wsparł się mocno rękami, uczepił żelaznego prętu, na którym była napięta brezentowa buda. Twarz miał spokojną.

Tam wysoko była nasłoneczniona przestrzeń, chorągiewka mrugała szybciutko jakby tęskniła do lotu.

Sędzia popatrzył na maszerujących obok żołnierzy, niskich, skośnookich, w burych kaftanach. Twarze mieli miedziane. Szli pochyleni z woreczkami na plecach, z bronią po partyzancku, lufami na dół. Mrowiła się przed nim długa kolumna, czuł ich woń obcą, potu, wełny i dymu. Człapali powoli po śniegu.

Nie był to krok zdobywców, ale spracowanych chłopów przemierzających zagony.

KONIEC

Wrocław 1948.

WITOLD WIRPSZA

SONATA

1

Trudno mi, jeśli mam ciągle umysł gotowy
na przyjęcie sonaty mozartowskiej, uszczelnić
w sobie wiek dwudziesty, tak jak się zamyka
puszkę konserw rybnych. Fala dźwięków
zbliża do siebie stulecia swoją prawidłowością
i każe się wzruszać gałązką jaśminu,
podobnie, jak wzruszali się nią hrabiowie
przed rewolucją francuską i synowie kupców przed epoką
współczesnych morderców. Temat muzyczny urzeka mnie,
jakby w ciągu ostatnich dwudziestu lat
nikogo w Europie nie zamordowano.

Wiem, że czynię niedobrze, tak myśląc. Wybaczcie mi
synowie spalonych, których proch, jak róża wiatrów
znaczy cztery strony świata. Wybaczcie mi
matki i siostry, żony i ojcowie: wasz ból
powinien uczynić zdanie muzyczne o jeden stopień
mniej pięknym. Wybaczcie mi wreszcie
żołnierze i robotnicy zwycięstwa, gdyż na waszą cześć
nie napisano jeszcze muzyki nowej,
którą powinienem się zachwycać. Jest jednak
coś urzekającego w dawności, wdzierającej się w waszą obecność,
jak pocisk w ciało — coś, niby widok drogi mlecznej,
zapadającej się w morze, w bylejakiej stronie świata,
gdzie błyszczą się jeszcze pozostawione przez walczących miny.
Obecność was, oddychających koło mnie ma w sobie
siłę grzmotu strzaskanych tablic mojżeszowych.

2

Kilka lat zaledwie minęło, a już w pamięci
zaciera się obraz wielkich pól bitewnych. Czapka
kościuszkowca, poległego w rowie szosy prowadzącej do Berlina
zgniła już — choć wtedy, w roku czterdziestym piątym,
świeża krew błyszczała na niej w kwietniowym słońcu,
niby wielka czerwona gwiazda, ujrzana w teleskopie
działa polowego. Dziś ciała zabitych noszą napis
nad cmentarzami polowymi, a miejsca boju
oglądamy jako rysunki w gazetach i podręcznikach strategii;
nad bitwą pod Stalingradem przylepiono etykietkę: Cannae.

Wojna, to wielkość wstawiona w nawias, posłuszna prawom
i dziwactwom ludzkiej pamięci. Pozostał
temat mozartowskiego allegra i wy, którzy czynicie je
czymś niegodnym — zrozumiałym i bliskim, a wrogim
jak skrzydła egzotycznych żuków, pożerających nasze najlepsze owoce.

Wiele można wyrazić mową wiązaną: przyrodę
opisano tysiąckrotnie; serce ludzkie dźwięczało
w strofach radością, tęsknotą i bólem; umysł ludzki
radował się nowym odkryciem i lękał się śmierci;
twarz ludzką wykrzywiał śmiech i płacz;
wojska szły do ataku i cofały się w przerażeniu.
Ale nigdy jeszcze poeci nie zapominali tak szybko
o przebrzmiałych niedawno wystrzałach armatnich
i nie pamiętali z taką zajadłością o rzeczach,
których dotychczas nikt nie opisywał; w dwudziestym wieku
wyobraźnia cofnęła się przerażona, jak niegdyś cofały się wojska
i pozostało to przerażenie, dźwięki muzyki i postacie
noszące w sobie spienione wodospady rozpaczy.

3

Nigdy nie nosiliśmy w sobie tyle boleści, co dziś.
Nigdy wiara w przyszłość nie była silniejsza, niż dzisiaj.

4

Synowie epoki, w której uczono ludzkość
o wolności, równości i braterstwie,
o dziesięciu przykazaniach bożych i dwóch przykazaniach miłości,
w której prawo dwunastu tablic było
dźwiękiem odległym, lecz wciąż jeszcze pełnym spiżu —
jak wyglądaliśmy w dniach próby?

Jedni z nas stali się mordercami, a pozostali
nie doczekali się jeszcze chwili całkowitego potępienia morderców.
Jedni z nas stali się obojętni i ciułali grosz,
a ręce ich pozostały całe i nie przepaliły ich zebrane miedziaki.
Jedni z nas chwycili za broń i mrużyli oczy do sprawiedliwego strzału
nieświadomi, że za pociągnięciem spustu wali się cała epoka.
Każdy z nas — w dniach próby —
chwalił księżyc wschodzący nad lasem,
jezioro pełne błysków słonecznych,
obraz Rembrandta.
Łączył nas ten sam sposób budowania zdań,
wyrażania miłości i nienawiści,
potrzeba zaspakajania pragnienia i głodu,
konieczność śmierci:

a jednak dla wielu z nas nie ma wytłumaczenia.
Ta świadomość pozwala mi codziennie słuchać muzyki Mozarta.

SZTUKA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

JANINA DOROSZEWSKA

Współudział artystów w nowoczesnym zabawkarstwie



Wprowadzenie dziecka w świat moralności i zdobyczy intelektualnych, zdawna już stanowi zadanie wychowania. Świat przeżyć artystycznych wciąż jeszcze nie jest dostatecznie przez wychowawców wzięty pod opiekę.

Jest to tym dziwniejsze, że przecież, jak wiadomo, konstrukcja psychiczna małego dziecka jest typowo artystyczna. Jego wielka pobudliwość na podniety zmysłowe i mocne kojarzenia ich z uczuciami, stała, intensywna praca wyobraźni, nieświadoma tendencja do wyszukiwania w zjawiskach cech zasadniczych, reprezentatywnych, dobitne ich podkreślanie we wszelkich odtwarzaniach świata (zabawa, rysunki, „ulepianki" itd) — wszystko to mówi o wyraźnie artystycznym podłożu psychiki małego dziecka.

Marnotrawimy przeważnie jednak te niewątpliwe bogactwa dziecka, które tworzą podstawę jego konstrukcji psychicznej. Zapewne naturalnym biegiem rzeczy jego tendencje rozwojowe idą w kierunku odchodzenia od tej uczuciowo - wrażeniowej i woluntarnej postawy, która normalnie intelektualizuje się z biegiem lat. Ale czy my dorośli staramy się utrzymać to, co z okresu artystycznego może w dziecku pozostać na stałe jako już osiągnięte przez nie bogactwo?

Gasimy świeżość reakcji dzieci, naginamy je do różnych szablonów, niewłaściwie przeciwstawiamy fikcji zabawowej jakoby „prawdę", jakoby „rzeczywistość", nie umiejąc w innych zapotrzebowaniach dziecka, (które pragnie coraz większego kontaktu z rzeczywistością) utrzymać to, co jest ważne, zdrowe i zapładniające, z jego świata fikcji. Wszystko to sprawia, że przez nasze nieumiejętne majstrowanie jakby tępym kozikiem, w psychice dziecka — artysta w nim zanika bezpowrotnie! A ponieważ nie staje się ono intelektualistą, bo brak mu na to jeszcze danych, wytwarza się zeń przeciętny, seryjny typ „szarego" człowieka, który jest nieuwrażliwionym odbiorcą sztuki i niedokształconym odbiorcą nauki, zamazane oblicze, zamulona osobowość, nieczuły aparat odbiorczy, tandetny aparat nadawczy. Po prostu konsument kiczów, pochłaniacz makulatury.

Powiedzmy sobie otwarcie: sami wychowaliśmy dziecko na tego głuchego, ślepego, nieczułego „szarego człowieka".

Co robić, jak temu zaradzić, by nie wpychać dziecka w nieszczęście kalectwa duchowego?

Pedagogika nowoczesna jest już na śladzie różnych metod „odszarzających" człowieka.

Jednym z najbardziej zasadniczych środków jest działanie poprzez zabawkę.

Wszyscy wiedzą jakie znaczenie w wychowaniu ma zabawka! Powtarza się do znudzenia, że dziecko ćwiczy na niej swą sprawność psychiczną, że rozwija na niej swą spostrzegawczość, uwagę itd., że ćwiczy na niej swe przyszłe funkcje, że kształci z jej pomocą swe życie uczuciowe, że rozwija swą fantazję. Ale zbyt mało myśli się o tym, że zabawka w życiu dziecka jest tym, czym sztuka dla dorosłego człowieka. A przecież dziecko za pomocą zabawki, podobnie jak dorośli za pomocą sztuki, wyraża i przedłuża siebie, wyżywa się, uwielokrotnia w swych możliwościach. Zabawka — podobnie jak sztuka dla dorosłego — sprawia, że dziecko ubogie czuje się bogate, nieśmiałe przeżywa dobre chwile poczucia mocy, słabe i niezręczne zdobywa rzeczy nieosiągalne, pragnące władzy znajduje podwładnych, lubiące fantazjować — wkracza w swe własne światy, samotne zdobywa towarzystwo, smutne znajduje uśmiech... Ale przede wszystkim dziecko poprzez zabawkę uczy się żyć w świecie fikcji, który pomaga dziecku wyrażać to, co wie o świecie rzeczywistym to, co chce od tego świata, jak i to, czego się w nim boi. Zabawka uczy dziecko oddychać powietrzem fikcji, po to, by w przyszłości gdy dorośnie, umiało odetchnąć szerokimi piersiami w świecie sztuki.

Kolorowa magia zabawki jest wyraźnie magią sztuki. I te oto siły zaprząc możemy do wychowania. Możemy nasze wychowawcze turbiny skonstruowane dla tworzenia człowieka, poruszać tym napędem magii zabawki.

Muszą pamiętać o tym wychowawcy pojedynczych dzieci i ci, którzy wychowują ich całe rzesze — ci, których zadaniem jest nakreślenie ram wychowania na skalę państwową.

Stwierdzamy z radością na podstawie ostatnich wystaw przemysłu artystycznego (jak zeszłoroczne Targi Gdańskie, gwiazdkowa wystawa zorganizowana w Warszawskim Muzeum Narodowym przez Min. Kultury i Sztuki, pokazy szkół artystyczno - rzemieślniczych — jak np. Zakopiańska Szkoła Przemysłu Drzewnego), że dojrzało już zrozumienie ważności zabawki w wychowaniu artytycznym dzieci. Najważniejzy i najdonioślejszy jest jednak fakt, że nie tylko ludzie bliżej czy dalej związani z wychowawstwem, jak ministerstwa, szkoły itd., ale i sami artyści zrozumieli, iż muszą wyciągnąć pomocną dłoń do — dziecka i ratować w nim artystę. Tego artystę bowiem zabijają w nim takie zabawki — banały jak cukierkowe, wyprane z wszelkiego wyrazu, głupawo uśmiechnięte lalki z masy, ubrane „salonowo" lub „ludowo", czy pretensjonalne w swym pseudo - naturalizmie zwierzęta lub karykaturalne stworzydła w rodzaju Mickey Mouse, krasnali disneyowskich (tych żałosnych plagiatów filmowych, którym odebrano wyrazistość ruchu, a zostawiono niezrozumiałą wskutek tego brzydotę) — jednym słowem te wszystkie zabawki — tandety wychowawcze, których tworzywo, formę i treść wyznaczają jedynie względy koniunkturalne.

Arstysta zrozumiał już dwie rzeczy: po pierwsze, że trzeba bronić dziecka, swego przyszłego odbiorcę, od zabicia w nim naturalnego instynktu artystycznego i, po drugie, że zabawkarstwo — to sprawa ważka i dla samego artysty, gdyż za pomocą tej gałęzi sztuki zdoła się on wypowiedzieć nie gorzej niż w innych dziedzinach twórczości.

I oto mamy już nieliczny, ale ciekawy dorobek twórczości zabawkarskiej naszych artystów.

Spotykamy w naszym artystycznym zabawkarstwie takie nazwiska jak Kurman, Piwowarska, Kenar, Narzyńska, Miklarzewski, Kurzętkowski. Całe zespoły artystów pokazują na różnych wystawach próbki swych nowych, często b. ciekawych projektów (Centrala Przemysłu Artystycznego w Gdyni, Zrzeszenie „Rytu", Łódzka „Spółdzielnia Pracy", Zrzeszenie Artystów Plastyków w Łodzi — artystów zgrupowanych koło teatru Faramuszka itd).

Ministerstwo Kultury i Sztuki robi już — jak słychać — starania aby te zabawki — jaskółki zwiastujące nową erę, która nadchodzi w naszym zabawkarstwie, uwielokrotnić przez seryjną wytwórczość. W ten sposób znajdą one drogę do rzesz dzieci, którym się należą.

Czego żądają wychowawcy od artysty tworzącego zabawki? Innymi słowy: co my wychowawcy, którzy jesteśmy — powinniśmy być — głosem nieuświadomionych potrzeb dziecka, mamy do powiedzenia w sprawie twórczości zabawkarskiej?

Wydaje się, że nasze dezyderaty sprowadzić się dają do następujących uwag, stwierdzających zresztą, że nowoczesne artystyczne zabawkarstwo już intuicyjnie idzie po drodze wypełniania tych żądań, które my tu staramy się tylko zestawić*)

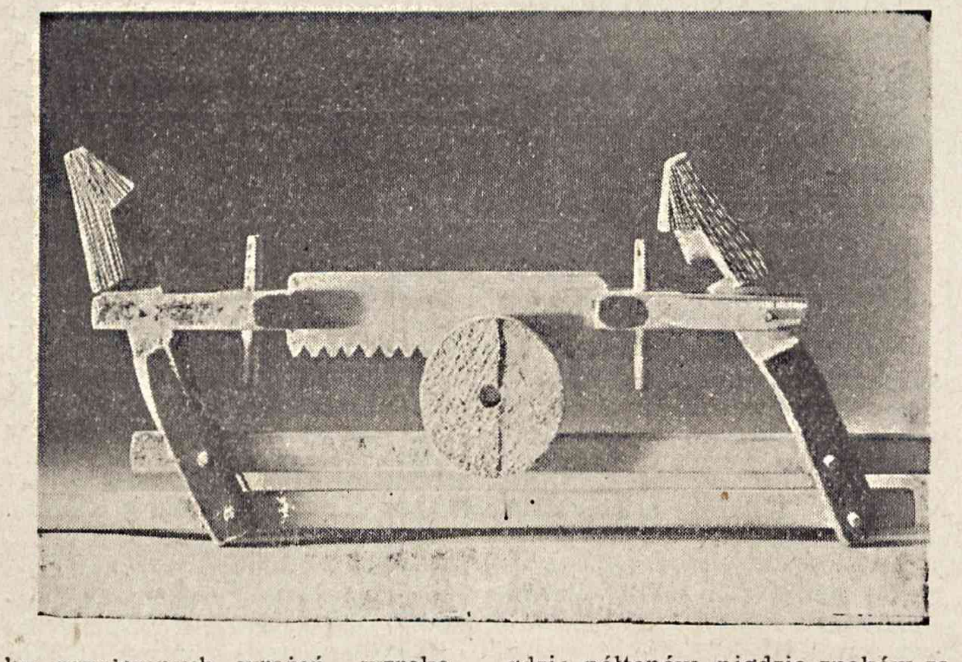
Znana pobudliwość dziecka na podniety zmysłowe wymaga niezwykle starannego opracowania zabawki od strony formalnej: musimy dbać o to, by dziecko obcując wciąż z zabawką i w dodatku przeżywając w związku z nią silne emocjonalne stany, mogło kojarzyć uczucia przyjemne z estetycznymi wartościami. Nic nie jest więc obojętne: barwa, kształt, walory dotykowe, głos, jaki zabawka wydaje przy „użytkowaniu" jej itd. Zabawki Mariana Kurmana (ptaszek w klatce, huśtawka i inne) czynią zadość tym wymaganiom bardzo ciekawie. Przede wszystkim są to świetne zestawy kolorystyczne: huśtawka np. ma kształt łódeczek — koników zawieszonych na drążkach — na nich siedzą tyłem do siebie pajace. Białość przeważająca w pajacach jest tu podkreślona czerwienią koni: granatowe partie rozbijające tę czerwień (granatowe grzywy, granatowe kwiaty na bokach koni) nadają całości charakter radośnie nonsensownej a jednocześnie zharmonizowanej całości; wahadłowy spokojny ruch zabawki stanowi doskonałe przeciwstawienie i tło do tej wesołej prostej piosenki barw.

Przeciwstawienie toczonych form z płaskimi tak charakterystyczne dla zabawek Kurmana daje znów inne możliwości artystycznych osiągnięć. Dziecko przeżywające swe wzruszenia w związku z takimi zabawkami, żyje niewątpliwie w klimacie sztuki.

Drugim dezyderatem jest konieczność dostarczania dziecku poprzez zabawkę możliwie pełnych przeżyć zmysłowych, przede wszystkim dla tego, że dziecko ma wyraźne skłonności — a więc i potrzebę — całościowego ujmowania dostępnych mu wrażeń zmysłowych, a po drugie, że tę cenną właściwość należy w dziecku kultywować i utrzymywać na stałe. A więc pożądane jest, by zabawka dostarczała dziecku przyjemnych wrażeń wzrokowych i dotykowych, a jednocześnie była źródłem miłego dla dziecka dźwięku lub nawet stanowiła smaczny przysmak po przyjemnej zabawie. Wiemy, że zwłaszcza to ostatnie „prawo" zabawkarskie jest szczególnie chętnie stosowane, przez sztukę ludową wszelkich krajów i czasów. Znamy te gładkie, polewane ceramiczne zabawki (ptaszki, lale), które są jednocześnie gwizdkami lub też różnobarwnie lukrowanymi słodyczami.

(Tu wchodzi w grę również i sprawa mocnej konstrukcji zabawki, ponieważ dziecko — zwłaszcza małe — może ją użytkować za pomocą doznań motorycznych takich jak rzucanie nią, chwytanie itd).

Trzecia zasada jest związana z możliwościami apercepcyjnymi dziecka. Trzeba elementy, z których składa się zabawka łączyć w całość dostosowaną do jego możliwości odbiorczych. Stąd postulat barw żywych, zestawień prostych, kształtów zrozumiałych, nieskomplikowanych, dobitnych ekspresyjnie. I tu zabawki ludowe są przykładem podświadomych dążeń w tym kierunku. Zabawki Kurmana omawiane już z powodu ich walorów formalnych są także przykładem dobrego podejścia do rozwiązania zagadnienia zabawki. Dziecko ma tu podane najprostsze zestawienia linii wyraźnie zaokrąglonych z zupełnie prostymi, brył zdecydowanie wypukłych z całkowicie płaskimi, zestawienie kolorystycznie wyraźne, śmiałe, ściśle płaszczyznowo określone, ujęcie sytuacyjnie i ekspresyjnie dobitnie wyraźne określające obrane pojęcie: nigdzie niedomówień, nigdzie półtonów, nigdzie znaków zapytania, wahań.



Podobny charakter krańcowej prostoty form noszą pacynki Piwowarskiej. Ich cel (występowanie na scenie) przeznacza je bardziej jeszcze niż normalne zabawki do tego, by osiągnięta została w nich maksymalna ekspresywność za pomocą minimalnych środków. Środki te są u Piwowarskiej uderzająco ubogie: gładko toczona drewniana główka pomalowana paru dotknięciami pendzla — czasem wklinowany nos drewniany. Poza tym pęczek włosów, czy inne nakrycie głowy i szmateczka — woreczek zamiast tułowia. To wszystko wystarcza, by w paru pacynkach tej artystki odnaleźć kraj imaginacji dziecinnej, która nie tworzy niczego, co jest mgliste i niewyraźne: wszystko z jej świata nosi znamiona zdecydowanych uczuć, określonych kształtów, wyraźnych znaczeń.

Sprawa schematyzacji pojęć przedstawionych w zabawkach jest związana z konieczną w zabawkarstwie prostotą form. Dotyczy to zabawek przeznaczonych dla dzieci przedszkolnych, których psychika ma silną tendencję do samorzutnego schematyzowania doznań, do porządkowania ich w pewne zasadnicze kategorie. Idąc za wskazówkami tej tendencji musimy dziecku przedszkolnemu ułatwić pracę, dostarczając mu wrażeń już w pewien sposób uporządkowanych.

Zabawki, jakie dajemy dziecku przedszkolnemu, muszą mieć charakter syntetyczny, wydobywający z wyobrażanych obiektów ich istotne reprezentatywne cechy, co się zbiega ciekawie z tendencjami sztuki współczesnej.

Odwieczne osiągnięcia praktyczne w tej dziedzinie ukazuje nam zabawkarstwo ludowe, które na wszystkich szerokościach geograficznych daje np., wyobrażenie jeźdźca na koniu tak, że zaakcentowane są w sposób dominujący silne nogi konia, jego silny grzbiet (wyraz jego mocy) przy potraktowaniu jak najpoważniejszym nóg jeźdźca. Często nogi te są zupełnie w zaniku, jak również i jego twarz. Natomiast ręce jeźdźca trzymające cugle są już uwzględnione ze starannością, która znajduje swój wyraz w odpowiednio wyraźnym kształcie, podmalowywaniu itd. Jednym słowem, ekspresywność idzie tu w kierunku podkreślenia szczegółów istotnych, reprezentatywnych dla danego pojęcia a usuwania w cień nieistotnych, choćby to były szczegóły skądinąd ważne dla wyobrażenia. Zgadza się to dokładnie z ujęciami dzieci. Zgadza się też jak widzimy z tendencjami sztuki nowoczesnej.

Niezwykle ciekawym przykładem zrozumienia tych zbieżności przez artystów współczesnych są wartościowe zabawki, które powstały ostatnio, a mianowicie drewniane zabawki Antoniego Kenara, skomponowane według wzorów znanych zabawek ludowych przedstawiających dwóch kujących kowali lub kowala i misia na przemian bijących młotami w kowadło. Wahadłowy ruch dwóch figurek osiąga się przez umieszczenie ich na dwóch równoległych kijkach: zależnie od tego, który z nich ciągniemy, figurki pochylają się w jedną lub drugą stronę. Kenar podchwycił doskonale czar tych tradycyjnych postaci. Potrafił podkreślić to, co w tych zabawkach ludowych, było ciekawe pod względem artystycznym. Mianowicie przez mocne uwypuklenie pewnych fragmentów całości a spychanie w cień, a nawet doprowadzanie do zaniku innych, wywołuje obraz nie samej konkretnej czynności, a jakby jej istoty: te figurki kowali czy traczy są tu potraktowane przez krańcowe odindywidualizowanie ich w roboty. W ich twarzach widać tylko zarysy szczęk przez co całości nadany został wyraz siły i zdecydowania, nogi ich są zagubione w ogólnikowych zarysach mocnej masywnej podstawy, a ręce stanowią jakgdyby przedłużenie młota czy też — jak u traczy — są zrośnięte z piłą. Ich wyraźnie zaznaczone włosy o charakterze słomianych strzech nadają całości piętno pracy na wsi.

Są to pierwszorzędne osiągnięcia w zabawkarstwie. Jeśli się uda stworzyć akcję masową, mogą być znacznym krokiem naprzód w wychowaniu artystycznym.

Z żądaniem, by zabawka wyobrażała przedmioty czy zjawiska w ich „reprezentatywnych", zsyntetyzowanych obrazach, co jest bliskie tendencjom sztuki nowoczesnej, wiąże się zbliżone do niego żądanie, niezwykle ważne jeśli idzie o dziecko przedszkolne: konieczność ogólnikowości zabawki.

Wszyscy znamy to wciąż zdumiewające dla nas zjawisko, że dziecko ceni przede wszystkim zabawki, wykonane w domu, jakąś nieokreśloną stworę z materiału — ni to zwierzaka ni lalkę — której co chwila nadaje inną rolę w swej wiecznie płynnej i zmieniającej oblicze zabawie. A co może tym łatwiej uczynić, im bardziej ta zabawka jest ogólnikowa.

Zabawki nieraz z wielką maestrią wykonane, drogie, wspaniałe „jak żywe" lale, zachwycają nieraz dziecko przedszkolne, ale nie zachęcają do zabawy z nimi: daleko swobodniej — bo bardziej twórczo — czuje się ono wobec np. lali szmacianej ogólnikowo podającej zarysy człowieka. Czasem nawet patyk z rozgałęzionymi korzeniami w kształt czuprynki jest dla dziecka bardziej użyteczną — w jego poczuciu - zabawką, niż jednoznacznie określone, zindywidualizowane wyobrażenia, które mu niosą zabawki naturalistycznie dokładnie wykonane. Piękne klocki Mariana Kurmana, które ustawić można tylko w jeden sposób — w kształt zamku średniowiecznego o spotęgowanych barwach, zamku stojącego nad lustrzaną wodą, lub klocki Haliny Kenarowej służące do ustawienia renesansowego ryneczku, nie liczą się z tą żywą potrzebą dziecka, jaką jest potrzeba uniwersalności w korzystaniu z zabawek.

Ta potrzeba uniwersalności, ogólnikowości zabawki, jest u dziecka w wieku przedszkolnym tak wielka, że nie jest nawet dlań obojętne w jakiej pozie (siedzącej, stojącej, z profilu, en face) — ujęte jest w zabawce wyobrażenie człowieka czy zwierzęcia. Podobnie jak to ujmuje dziecko przedszkolne w swych rysunkach, zabawkowe twory muszą być w takich pozach, jakie są najtypowsze dla danego wyobrażenia: a więc człowiek stojący en face, zwierzę z profilu stojące. Lalki i zwierzęta zastygłe w pozach przypadkowych (np. poza leżącego we śnie) nie mają u dzieci powodzenia.

Jak pogodzić można wysoki poziom artystyczny z zapotrzebowaniem dziecka, by zabawki były jak najbardziej ogólnikowe, pokazała nam swymi lalkami Narzyńska. Lalki jej są „szmaciane" — i to jest ich jeszcze jeden tytuł do serca dziecka, ponieważ czuje się ono zawsze dobrze z zabawkami o charakterze domowego wyrobu, wykonanymi — przez pomysłową mamę lub uzdolnionego ojca. Lalki Narzyńskiej mają naprawdę ten nieuchwytny czar improwizacji domowej, a jednocześnie są to skończone dzieła sztuki.

Sylwetka tych lalek jest najtypowsza, można by powiedzieć banalna, a buzia to tylko cztery punkty. Ale rozmieszczenie i ustosunkowanie do siebie tych punktów i plam jest tak mistrzowskie, że zdołają one wyrazić cały czar naiwnej, dziecięcej ufności i bezbronności, zapraszając czule dziecko, by pokochało tę jeszcze bardziej słabą niż ono istotkę.

Widzimy tu niezwykle udałe, ogromnie trudne połączenie ogólnikowości zabawki z jej ekspresywnością uczuciową, która musi być uwzględniona w zabawkach dziecka, bo stanowi jego żywą potrzebę.

Podobnie zwierzęta Miklarzewskiego wykazują tę konieczną w zabawkach umiejętność łączenia krańcowej prostoty form z ich dobitnością, że tak powiem, rodzajową (świetnie uchwycone i silnie podkreślone cechy charakterystyczne żyrafy czy psa) oraz z nadaniem im ekspresywności uczuciowej, zbliżającej te stwory do dziecka i obdarzającej je życiem indywidualnym. Dobrze znany dziecku materiał, z którego są zrobione: drzewo z dodatkiem futerka i skóry wyprawionej (grzywa żyrafy, uszy, ogon psa), również zbliża te zabawki do dziecka.

Na zakończenie jeszcze jedno żądanie w związku z zabawkarstwem. Dotyczy ono materiału, z którego zrobiona jest zabawka.

Wiemy, jakie wymagania stawia higiena, jak pochwala wszelkie materiały, pozwalające utrzymać zabawkę w czystości (drzewo, cerata itd), ale nie jest to jedyny punkt widzenia odnośnie do materiału, z jakiego zrobiona jest zabawka. Chodzi przecież i o „higienę psychiczną" nie tylko dotyczącą formy i treści ale i tworzywa. A więc pożądane jest, by w zabawkarstwie jak i w innych zakresach wytwórczości artystycznej manifestował się szacunek do właściwości materiału i do jego możliwości. Rzetelność i prosty stosunek do rzeczywistości, tak dobitny w sztuce ludowej, musi w naszym zabawkarstwie również znaleźć swój wyraz. Dając dziecku odpowiednią pod względem formy i tematyki zabawkę po to, by je od maleńkości uczyć oddychać powietrzem sztuki, dbać również musimy, by i pod względem stosunku do tworzywa nasze usiłowania szły w kierunku rzetelności, niefałszowania prawdy. Jest to konieczne zarówno ze względów wychowania moralnego jak i artystycznego. Tu znowu pedagogika podaje ręce tendencjom sztuki nowoczesnej.

Jak widzimy więc sztuka nowoczesna, która tak ciekawie łączy się z podstawowymi typami sztuki ludowej, ma ciekawe zbieżności również i z wymaganiami, jakie w zakresie zabawkarstwa wysuwa sama konstrukcja psychiczna dziecka. Ta zbieżność tych trzech tendencji: dążeń artystów nowoczesnych, nieświadomie wykluwającej się z tradycji wieków sztuki ludowej i żywej konkretnej tendencji rozwojowej dziecka — ta niezamierzona, a w dziele zabawkarstwa szczególnie uwydatniona zbieżność jest jednym z dowodów, że sztuka nowoczesna ma głębokie podstawy i że wskutek tego mamy prawo oczekiwać od niej ciekawych owoców.

W zakresie zaś wychowawstwa wiemy już, że jeśli artyści poczuli się współodpowiedzialnymi za wychowanie artystyczne dziecka, może osiągniemy wreszcie to, że stanie się ono, gdy dorośnie, domownikiem w świecie sztuki a nie zbłąkanym przechodniem.

Janina Doroszewska

*) Podaję tu dezyderaty dotyczące jedynie strony formalnej zabawki, pozostawiając na uboczu sprawy związane z jej pojęciowymi odpowiednikami, tak zwaną sprawę „pedagogiczności" zabawki, a również nie omawiam obszernego zagadnienia konieczności dostosowywania zabawki do wieku dziecka.

Uwagi tu podane uwzględniają przede wszystkim dziecko w wieku przedszkolnym, któremu zabawki najbardziej są potrzebne.

Kto ma rację?

Dwugłos recenzenta i czytelnika w sprawie tej samej książki

Jakże często polecając książkę dla młodzieży powołujemy się na to, że uwzględnia ona zamiłowania i zainteresowania młodych czytelników i przewidujemy, iż dzięki tym zaletom (nawet nie posiadając innych) osiągnie wielkie powodzenie. Tymczasem młodzież sprawia nam niespodziankę i książkę odrzuca, chociaż niewątpliwie kieruje się przy tym własnymi zainteresowaniami i zamiłowaniami.

Jako przykład rozbieżności zdań przy powoływaniu się na te same wartości — podajemy dwugłos recenzenta i młodego czytelnika. Ponieważ [illegible] powieści lotniczej, jako recenzent występuje pilot i znany autor powieści lotniczych, a jako czytelnik—młody 13-letni chłopiec, przyszły szybownik, zamiłowany w lotnictwie, który ukończył już teoretyczny kurs szybownictwa i który przeczytał z zapałem wszystkie powieści recenzenta.

A oto ich dwugłos:

Janusz Meissner (we wstępie do książki „Rekord Władka Dzięcioła" Marii Wardas).

„Pisać dobrze powieści dla młodzieży mogą tylko autorzy młodzi duchem. Pisać dobrze o lataniu — tylko tacy, którzy sami latać umieją. Młody czytelnik bowiem wcale nie jest bezkrytyczny: odkryje natychmiast każdą fałszywą nutkę stetryczałego pisarza, a gdy chodzi o latanie — z pewnością zorientuje się od razu, czy autor go nie nabiera, czy to, o czym pisze zna z własnych przeżyć, czy też tylko „z drugiej ręki"...

Myślę, że nowa książka znajdzie wśród młodych czytelników zasłużone powodzenie, zarówno ze względu na temat lotniczy, dobrze znany autorce, jak i dlatego, że przygody Franka Dzięcioła toczą się wartko niby ciekawy film, przenosząc bohatera (wraz z czytelnikiem) z ubogiej suteryny w Warszawie na Ziemie Odzyskane i do Czechosłowacji, skąd wraca jako zwycięzca, by zdobyć jednocześnie stanowisko instruktora szybowcowego..."

Młody Czytelnik. (Wypowiedź podajemy w lekkim skrócie, zamieniając wyrazy spotykane rzadko w recenzjach, jak „bujda" i „draka" zwrotami powszechnie używanymi. Imię i nazwisko autora znane Redakcji):

„Akcja książki do wyjazdu Władka na szybowisko jest nadzwyczaj nienaturalna. Znalezienie biletu na lot propagandowy, który w tym czasie w ogóle nie miał miejsca, spotkanie prezesa Aeroklubu, przyjęcie bez świadectwa ukończenia kursu teoretycznego na szybowisko (co w roku 1947 było chyba niemożliwe) — wiąże się ze sobą tak nieżyciowo, iż powieść sprawia wrażenie naiwnie wymyślonej opowiastki.

Opis pobytu w szkole szybowcowej jest lepszy, ale może mi się tak wydaje, bo tam jeszcze nie byłem. Wykład teoretyczny opisany dobrze, ale nie wiem po co, bo za cenę książki + 20 zł. każdy może skończyć teoretyczny kurs szybowcowy, gdzie mu wszystko jasno wytłumaczą i jeszcze dadzą świadectwo.

W opisie Czechosłowacji dzieją się cuda. Córka prezesa Aeroklubu nie wie, że są na świecie szybowce. Poza tym szybowce z Grunowa (który już wtedy nazywał się Jeżowem) są maszynami cywilnymi i mają oznaczenia płatowców cywilnych SP i numer kolejny a nie białoczerwoną szachownicę, którą mają tylko samoloty wojskowe. I czyż jest rzeczą prawdopodobną, aby pilot z kat. „C", latający tak krótko, mógł od razu zdobyć kategorię „D" i pobić czeskich pilotów, z którymi nasi naprawdę doskonali i wyrobieni piloci — muszą się jednak liczyć?

A na zakończenie szesnastoletni chłopiec z dwumiesięczną praktyką zostaje instruktorem szybowcowym. Czy tak może być naprawdę?

Drobne a liczne nieścisłości i mnóstwo nieprawdopodobieństw zawartych w tej książce obniżają bardzo autorkę w oczach młodzieży lotniczej, z lotnictwem obeznanej..."

Któż ma rację?

Sprawa wygląda na skomplikowaną. Bo jeśli recenzent nie myli się twierdząc, iż młodzież nie jest „bezkrytyczna" i „z pewnością zorientuje się od razu, czy autor jej nie nabiera" — w takim razie nie ma racji chwaląc tę książkę.

A może świetny pilot i znany pisarz zna tę powieść tylko „z drugiej ręki?"

Książki · Książki · Książki ·

PAMIĘTNIKI

„ZIEMIA BEZ BOGA"
Koppla Holzmana

Wrocław, 1947, t. I, str. 348, t. II, str. 309.

Przed kilku tygodniami wpadła mi do ręki książka pt. „Ziemia bez Boga", napisana przez nieznanego zupełnie autora, Koppla Holzmana. Wydał ją najprawdopodobniej sam autor, gdyż poza miejscem wydania (Wrocław), nikt się na niej nie podpisał.

Po przeczytaniu kilkunastu stron byłbym przysiągł, że będzie to jeszcze jeden pięknie rozwinięty kwiat rodzimej grafomanii, pod którą jakże często podpisują się nawet bardzo szanowane wydawnictwa. Koppel Holzman, który źle, a nawet bardzo źle włada językiem polskim i opisuje sprawy dobrze już znane i niejednokrotnie opracowane przez ludzi umiejących pisać — pisze o martyrologii żydowskiej w ghetcie małego miasta.

Okazuje się jednak, że nie należy nigdy kończyć książki po piętnastu stronicach. Kiedy bowiem z głęboką niechęcią powróciłem do „Ziemi bez Boga" po raz wtóry, kiedy wrażliwość moja otępiała na prymitywny i pretensjonalny język, nie mogłem się oderwać od tej lektury, tego niepospolitego dokumentu, podanego — wierzcie mi — z pełną pisarską pasją i narratorskim talentem. Oczywista, nie twierdzę, by Holzman był wielkim pisarzem, niemniej podtrzymuję, że napisał powieść dokumentarną, pociągającą swą bezpośredniością i panoramicznym ujęciem dantejskich scen, rozgrywających się przez wiele miesięcy niemieckiej okupacji na terenie Borysławia.

„Słyszę głosy pomordowanych, które nie dają mi spokoju za dnia i nocy... Boleję tylko nad tym, że nie oddam wszystkich możliwych rodzajów śmierci i ogromu nieszczęść tych piętnastu tysięcy pomordowanych ofiar mego miasta rodzinnego... Może przecież wśród czytelników znajdę wielu, którzy dogłębnie wczują się w treść tych nieociosanych słów i zrozumieją mnie bez reszty". Oto kilka zdań wyjętych z długiego wstępu do książki, kilka zdań usprawiedliwiających w sposób niezmiernie prosty potrzebę wypowiedzi autora.

„Ziemia bez Boga", to kilka obszernych rozdziałów, podzielonych na kilkaset małych fragmentów, opisujących dzieje dzielnicy żydowskiej od chwili przyjścia Niemców do Borysławia aż po koniec tzw. piątej akcji, kiedy ostatnie niedobitki szukają schronienia po norach, okolicznych lasach i aryjskich domach w bezustannym strachu i oczekiwaniu. Holzman z nieubłaganym realizmem notuje tysiące przejawów dzikiej walki o życie, w której przeważają dwa uczucia: nadzieja i trwoga. Uczucia te są tragicznym lepiszczem łączącym kompozycyjnie wszystkie fragmenty i wszystkich ludzi dzielnicy żydowskiej. Nieustanna groźba okropnej śmierci, precyzyjnie podtrzymywana przez kolejne ekspedycje „likwidacyjne" obnaża wszystkie słabości ludzkie, wyzwala wielkość i małość torturowanej grupy społecznej. Tutaj Holzman jest doskonałym i bezlitosnym obserwatorem. Od precyzyjnego i niezwykle prawdziwego rysunku niemieckich „führerów", których drewniany mechanizm bezmyślnych automatów i wykonawców łączy się z dobrze nam znanym komediantctwem, próżnością, poprzez bezlitosną analizę przedstawicieli „Judenratu", plutokracji żydowskiej wysyłającej bez skrupułów na śmierć swoich ubogich braci — aż po nieszczęsny Ordnungsdienst, szatański wymysł komendy niemieckiej, którego członkowie przedłużali swe nędzne życie za cenę dostarczania ofiar — to jedna grupa nędzników i przestępców. Po drugiej stronie stoi szara masa mieszkańców ghetta borysławskiego, których pamięci poświęcona jest ta książka. Nie są to sami bohaterowie, Holzman jest uczciwym pisarzem i nie idealizuje. Ale wszystko co czynią ci nieszczęśliwcy, mówi o tragedii człowieczeństwa; walce nie tylko o życie ale i o inne pozaczasowe wartości.

„Ziemia bez Boga" to anatomia nędzy i głodu, obraz epidemii tyfusu, dziesiątki łapanek niosących „bakcyl paniki", akcje i wywożenia, to księga nieludzkich uczuć i beznamiętnej filozofii, świadectwo doskonałej obserwacji siebie i ludzi.

I rzecz dziwna. Autor, który brał w tym wszystkim udział i jakimś dziwnym tylko zbiegiem okoliczności uniknął śmierci, nie napisał książki z gatunku „okropnych", nie dających się spokojnie czytać. Tu już wkraczamy w zagadnienie artyzmu, niewątpliwego dla czytelnika w miarę jak wgłębia się w tekst. Holzman dotykając zagadnień z bezpośredniej bliskości, niemal ręką zawsze poszukuje syntezy i artystycznego dystansu. Książka wstrząsa jako dokument, jako całość, ale nie ma w niej nic z okropności, ani jaskrawego efekciarstwa, w które podada się tak łatwo przy podobnym temacie.

Klapą bezpieczeństwa estetycznego są w tym dramatycznym reportażu epizody, które wypływają z akcji, pozwalają jednak czytelnikowi odetchnąć i oderwać się od głównego nurtu. W tych epizodach objawia się też postawa filozoficzna autora, który ze spokojnym humorem nicuje kolekcję typków ludzkich, jak „panikarza" profesora, starego wygodnisia Mandla, dowcipnego Sala czy pechowatego Bela.

— Na pograniczu tragizmu i humoru jest jeden z najlepszych epizodów, ucieczka „mecenasa" z magazynu kolejowego i jego dwudniowe perypetie, kiedy ponad trzydzieści godzin przesiedział w ustępie kolejowym bez haczyka w drzwiach... Innego gatunku dygresją są stronice malujące z pełnym rozmachem ucieczkę z rąk niemieckich młodego Lejbka, który tuła się po okolicznych wsiach i górach, nie mogąc doprosić się jakiejkolwiek pomocy od ludności ukraińskiej.

Nie bez pewnej myśli wprowadza też Holzman opisy przyrody. Pojawiają się one przeważnie jako zapowiedź zbliżającej się „akcji" lub jako ingerencja sił przyrody w niesprawiedliwość spraw ludzkich. Kapitalnym tego przykładem jest żywiołowa burza, po pierwszych mordach na ludności żydowskiej. Obok tego sugestywnego i pełnego dynamiki opisu, daje nam autor nastrojowy obraz pięknej, podgórskiej borysławskiej wiosny, aby na tle jej uroku tym silniej wystąpiło przygnębienie nędzarza Moszka, któremu krótkie noce odbierają możność podkradania niemieckiej ropy — jedynego źródła utrzymania starych rodziców...

„Ziemia bez Boga", mimo literackich niedoskonałości, ma wartość dokumentu jednej z najtragiczniejszych chwil dziejowych, jakie ludzkość przeżyła.

Józef Słotwiński

Państwowy Instytut Wydawniczy w związku z przygotowaniem wznowienia książki Andersena Nexö „Pelle Zwycięzca", poszukuje tłumacza ob. J. Mondscheina lub jego spadkobierców.

Bibliografia na powielaczu

Lekceważenie, jakie wiązano dotąd z określeniem: publicystyka, styl dziennikarski, zmniejszyło się nieco po wojnie. Z pomocą czasopism przeprowadzaliśmy bowiem bardzo wiele zagadnień ważnych i to w sposób wcale nie łatwy dziennikarsko. Liczba czasopism podniosła jeszcze wartość tego dorobku. Gdy jednak chcemy go zacząć mierzyć, okazuje się trudność zupełnie podstawowa: materiał jest obszerny i bardzo trudny do ujęcia dla pojedynczego badacza a nawet dla pojedynczego warsztatu naukowego.

Dlatego z radością notujemy ukazanie się — co bez przesady nazwać można rewelacją — powielanego wydawnictwa Instytutu Bibliograficznego (przy Bibliotece Narodowej), które wydało tom pierwszy **Bibliografii Zawartości Czasopism**, za lipiec 1947 r. Wiadomo, że „Przewodnik Bibliograficzny" tejże Biblioteki Narodowej rejestruje bieżącą produkcję drukarską w zakresie wydawnictw nieperiodycznych, a więc przede wszystkim książki. Książki obejmują jednak zaledwie część naszego dorobku intelektualnego — obraz ukazujący tylko ich produkcję — jest i fragmentaryczny i fałszywy.

Przypomnijmy, że w pierwszym roku po wojnie czasopisma zbierały znacznie więcej tematów i autorów, niż to jest normalnie przyjęte — bardzo powoli bowiem powstawały właściwe instytucje wydawnicze. Do dziś stan ten nie zmienił się całkowicie — po prostu dlatego, że mamy bardzo specjalny układ sił firm wydawniczych, centralną gospodarkę papierem. Inna przyczyna owego rozrostu tematyki czasopism, to nowe problemy, które nałożyły się na siebie oraz zagadnienia olbrzymich migracji ludnościowych, przebudowa społeczna i nowa struktura polityki zagranicznej. Przybywa zagadnień a nie przybywa wydawców.

Wspomnieć jeszcze trzeba, że praca naukowa zawsze uznawała dwie formy wypowiedzi: książki i artykuły w czasopismach fachowych. Krytyka literacka i krytyka naukowa posługuje się w pierwszym rzędzie czasopismem, jako organem szybszej wypowiedzi i organem określonej postawy ideologicznej, określonego zespołu redakcji i czytelników. Ilość gazet i czasopism jest u nas tak poważna, że ani śledzić nie można jednocześnie ich zawartości, ani, tym mniej, dotrzeć do nich po kilku miesiącach lub latach.

Przyznajmy to szczerze, że zbiory czasopism w naszych bibliotekach naukowych i zamożniejszych prywatnych — były i pozostaną na dłuższy jeszcze czas pozycją martwą. Ów grzeszny brak bibliografii ogólnych i specjalnych przypominamy jako jeszcze jeden morał na temat braku zmysłu gospodarczego, szafowania czasem setkami badaczy kartkujących z najwyższą irytacją grube roczniki, morał na temat naszego niedbalstwa. W czasie poszukiwań robionych na ślepo nie miało się nigdy gwarancji, że materiał w jakimś stopniu został opanowany.

Bibliografię Zawartości Czasopism należy przyjąć jako podstawę do sporządzania bibliografii specjalnych. Brzmi to skromnie, ale może oznaczać punkt zwrotny w rozwoju wielu odcinków pracy naukowej i publicystycznej. Zamiast szeregu warsztatów pracujących niedokładnie — Biblioteka Narodowa, opierając się na zbiorach najzasobniejszych uruchomiła jeden warsztat, który dostarcza materiału dla badaczy poszczególnych dziedzin.

Mamy do zanotowania tylko fragmentaryczne usiłowania podobnego rodzaju w Polsce. W „Wiadomościach Bibliograficznych" w roku 1882 Cezary Wilanowski umieszczał „Miesięczną bibliografię prasy", następnie Teodor Paprocki „Bibliografię czasopism" do roku 1886. Po nim w „Książce" Władysław Dajewski drukował „Bibliografię czasopism polskich" za czas od 1 stycznia do 30 kwietnia 1914 roku, a Walery Bagiński od 1 maja do 31 grudnia tegoż roku. Dodajmy jeszcze, że dr Szeliga (Józef Bieliński) w „Wiadomościach Bibliograficznych" zamieszczał w latach 1884 do 1886 bibliografię czasopism wileńskich — a skończymy skromnością swoją żenujące wyliczenie. Trudno tu zasłonić się argumentem, że lepszy był los zestawień literatury specjalnej. Kiedy zapytamy historyków literatury o ich dyscyplinę — odpowiedzą samymi narzekaniami. Pytajmy historyków kultury — odpowiedzą, że nie potrafią w ogóle uruchomić pracowni, bo brak im materiałów. Olbrzymi materiał informacyjny wiele cennych rozpraw, wiele nazwisk, przepadło w magazynach bibliotecznych. Nie wierzymy już obietnicom rychłego stworzenia bibliografii retrospektywnych. Jeden wielki warsztat — historyczno-literacki (mimo, że posiada tyle stałych punktów i pracowników na uniwersytetach) nie przezwyciężył trudności organizacyjnych, drugi wielki aparat ogólnej bibliografii regionu, mianowicie Śląska, przepadł w czasie wojny.

Dlatego nie krytykujemy pierwszego tomu **Bibliografii Zawartości Czasopism**, a witamy jako zwiastuna lepszej przyszłości. Materiał, jaki wykorzystano jest bodaj kompletny: to nie tylko wszystkie czasopisma (nie codzienne), ale nadto 36 dzienników dobranych na podstawie starannej selekcji. Uwzględniono mianowicie te dzienniki które wnoszą w swoich artykułach coś więcej, aniżeli przedruk wiadomości z agencji prasowych i reportaż dnia. Poszerzono jeszcze zasięg materiału o wydawnictwa okolicznościowe, jednodniówki. Kiedy kartkujemy okazały tom podzielony na 27 części, z indeksami osobowym i rzeczowym, chwalić można jeszcze staranność w objaśnieniach zapisków i ilość odsyłaczy. Wyjaśnienia treści w nawiasach świadczą o tym, że artykuły były czytane uważnie, porównywane z innymi, oceniane. Redakcja bibliografii jest chyba trafna. Punktem wyjścia są hasła rzeczowe, bardzo liczne; w wielu wypadkach nazwiska autorów stały się hasłami rzeczowymi. Specjalną uwagę poświęcono literaturze i nauce o literaturze. Polemiki i odpowiedzi zgromadzono razem. Dalszym ułatwieniem są pozycje zbiorowe — tu redakcja przygotowała bogaty materiał dla publicystów i kronikarzy, w części i dla naukowców. Kto nie ma zaufania dla układu według haseł i dla poprawnej redakcji haseł zbiorowych — posłuży się indeksem autorów.

Pozostawimy fachowcom dyskusję i szukanie błędów — chcemy widzieć w ukazaniu się tej bibliografii wyraz nowej sytuacji w dziedzinie życia naukowego. Odbudowa nauki polskiej po wojnie również na terenie warsztatu pracy musi być otoczona specjalną troską. Dlatego z najwyższym niezadowoleniem zbieramy ustne pogłoski o ograniczeniu przedsięwzięć Instytutu Bibliograficznego. Sam Instytut walczy z trudnościami: skromna liczba pracowników zmusza podobno do skreślenia z podstawy materiałowej owych 36 dzienników. Oznacza to okaleczenie następnego tomu — kadłubowa bibliografia traci właściwie sens.

Mniej groźne jest inne, zapowiedziane cięcie — następny tom zawierać będzie tylko działy od I do XVII, a więc humanistyczne i społeczne. Zakłada się bowiem, że dyscypliny takie jak medycyna, technika, nauka o wojskowości — prowadzą stałe bibliografie specjalne. Zresztą pierwsza publikacja wydana była w zamiarze wywołania dyskusji i zebrania ocen — jak to widać ze szpalt prasy naukowej i tygodników, zamiar ten chybił.

Inna plotka jest groźniejsza. Podobno Instytut Bibliograficzny nie może uzyskać funduszu na drukowanie swoich publikacji. Brzmi to jak najdziwniejszy nonsens. Publikacja powielana ogranicza w znacznej mierze ilość oznaczeń (różnych czcionek, znaków etc.) ogranicza ilość egzemplarzy, zmniejsza czytelność. Oszczędności uprawiane na komórce w swojej funkcji centralnej opłacane będą przez wielokrotnie pomnożone wydatki w wielu punktach. Wydatki opłacane są przecież z tego samego Skarbu Państwa!

Czekamy więc na powiększenie etatów, na druk następnego, zapowiedzianego tomu. Obejmie on czas od sierpnia do grudnia 1947 roku. Następne pozwolą dogonić czasopisma i prawdopodobnie dawać będą całości kwartalne. Quod felix...

Julian Lewański

ARTUR MARYA SWINARSKI

Z teatrów warszawskich

SPRAWA REŻYSERA

Miejskie Teatry Dramatyczne: „Candida", komedia w trzech aktach **George Bernard Shawa**; przekład **Floriana Sobieniowskiego**. Reżyseria: **Czesław Szpakowicz**. Dekoracje: **Jerzy Romański, Roman Owidzki.**

Zalety i wady reżysera Szpakowicza ujawniły się wyraźnie już w warszawskim Mussecie („Nie igra się z miłością"). Było tam dużo dobrych i oryginalnych pomysłów plastycznych, tak że strona w i z u a l n a przedstawienia miała urok i świeżość. Ale najważniejszym elementem w teatrze jest słowo. A Szpakowicz nie utrafił w ton Musseta; ba — nie umiał jako tako zorganizować orkiestry głosów, mimo że stało mu do dyspozycji kilku dobrych i kilku średnich aktorów.

Sądzę, że Szpakowicz, ze swoim kapitalnym wyczuciem plastyki scenicznej, ze swoją bogatą inwencją i odwagą, jest ideałem reżysera o p e r y i mógłby może stać się reformatorem jej kształtu scenicznego.

Od dawna marzymy, by ktoś tę myszką trącącą organizację radykalnie odnowił. Opera Poznańska stara się uczynić to przez stosowanie w reżyserii jak najdalej posuniętego realizmu; jej śpiewacy grają jak w realistycznych komediach (świetną aktorką jest np. Maria Janowska - Kopczyńska). Szpakowicz przeciwnie, stylizuje. „Uprowadzenie z Seraju" jest nad wyraz udałą próbą odświeżenia tej opery przez... cofnięcie się do roku 1782, do roku jej premiery. Mozart dał w „Uprowadzeniu" próbę połączenia stylu włoskiego ze stylem niemieckim, i w rezultacie stworzył coś w rodzaju stylu powiedzmy: wiedeńskiego. Publiczność premierowa była zaskoczona. Cesarz Józef II powiedział: — To aż zbyt piękne jak na nasze uszy — i za wiele tam nut, drogi Mozarcie!

— Akurat tyle ile trzeba, najjaśniejszy panie — odrzekł kompozytor...

Szpakowicz z niezawodnym węchem odtworzył styl teatru mozartowskiego, resztki barokowej buffonady rozbudował z dobrym skutkiem i przyprawił wszystko szczodrze baletem (jedynie pas de deux Szatkowskiej i Cywińskiego należało uplasować w innym miejscu opery). Inteligentnie zretuszowane libretto i arcydoskonałe dekoracje Romańskiego i Owidzkiego wsparły reżysera należycie. W szczegółach była obfitość pomysłów i urozmaicenie; duet Osmina i Belmonta, zakończony piekielnym „presto" (akt pierwszy) reżyser dowcipnie wypointował; chór janczarów był zabawny, — nawet taka rewolucja w operze udała się Szpakowiczowi...! A głosy? To sprawa kompozytora Mozarta i dyrygenta Nawrota, a nie sprawa reżysera Szpakowicza.

Ale w „Candidzie" była to sprawa reżysera Szpakowicza. Sprawa przegrana jak w „Nie igra się z miłością".

Szpakowicz roztoczył dokoła pani Morell atmosferę z gruntu fałszywą. Ibsenowską. Trzeci akt to już prawie „Nora". Co prawda Shaw w latach, kiedy pisał „Candidę", był entuzjastą Ibsena i dał wyraz swego entuzjazmu w „Brewiarzu ibsenowskim". Ale „Candida" nie ma nic z atmosfery ni tonu sztuk Ibsena; jest, jak prawie każdy utwór Shawa, farsą f i l o z o f i c z n ą, o czym reżyser powinien pamiętać.

Sekstet „Candidy" był nie zharmonizowany; każdy grał sobie w innej tonacji. I tylko Hanna Bielska grała w tonacji przepisanej przez autora. Gęsty osad mieszczaństwa, a na niedzielę trochę lichej poezji—tak wygląda wnętrze „Candidy"; musi ono dawać o sobie znać poprzez ciepło domowe i macierzyńskie, poprzez zabiegi dyplomatyczne i samozachowawcze i poprzez całą moralność pani Morell. **Bielska** zagrała ją jak należy, po shawowsku, nie po szpakowiczowsku. Tego zdania jest również Florian Sobieniowski, przyjaciel Shawa i jego tłumacz, który widział już kilkanaście Candid, polskich i angielskich, — więc jego zdanie to już prawie zdanie samego Shawa...

„Candida" była niestety monologiem Candidy. Źle obsadzony **Tadeusz Kubalski** wygląda nie jak pastor anglikański, ale jak proboszcz z polskiej wsi. Był nader nikłym partnerem Bielskiej, ale mam wrażenie, że to materiał na bardzo dobrego aktora. Najjaskrawiej fałszował **Sadowy**, który nie może się wyzbyć na scenie manier cudownego dziecka. Ale kiedy się ma pod trzydziestkę, powinno się zacząć nad sobą pracować, bo talent to jeszcze nie wszystko. Należy sobie wreszcie postawić głos i wyzbyć się eunuszego falsetu. Należy opanować głos, by nie „kiksował". Należy, opanować ręce i nogi. Eugeniusz Sadowego składał się cały z prywatnych dąsów, fochów i histerii Sadowego, nie przetworzonych artystycznie; tylko w pierwszej scenie trzeciego aktu był poprawny, — ale bo też to scena, którą trudno zepsuć, a Bielska trzymała tu Sadowego jak dobra koleżanka i jak dobra pani Morell.

Mieszkanie pastora szpetniejsze niż to przewidział autor, a jedna porcja drzwi utrudnia reżyserowi robotę.

U KLASYKÓW

Teatr Klasyczny: „Seans", komedia nieprawdopodobna w trzech aktach **Noel Cowarda**; przekład **Zofii Meissner i Ireny Babel**. Reżyseria: **Janusz Warnecki**. Dekoracje: **Feliks Mancewicz**.

Teatr Klasyczny rychło przestał nas czarować swoją klasycznością. Po klasyku Słowackim — klasyk Zawieyski. Zgoda! Ale potem już tylko klasyk Wilde i klasyk Nicodemi. I wreszcie klasyczna bujda — „Seans".

Przywykliśmy tu w Warszawie do oglądania na scenie nieboszczyków, dzięki „Cudowi Świętego Antoniego", „Drzwiom zamkniętym" i „Nocom gniewu". Więc mamy dostateczne przygotowanie klasyczne do „Seansu". Mimo to zaczynamy buntować się i tupać. Pomysł na skecz rozdmuchany na trzy akty; już w drugim jesteśmy zażenowani, a w trzecim zirytowani, że autor robi z nas dudka. Sytuację ratuje zabawny dialog i lotność pomysłów. Aktorzy grają za dobrze. Na co ta cała subtelna psychologia? Jak gdyby to był co najmniej Maeterlinck. Szkoda wdzięku i talentu **Grabowskiej, Pachońskiej** i **Różyckiego**; szkoda **Wodyńskiej, Łodzińskiego i Jezierskiego**. Jedynie **Irena Kwiatkowska** potraktowała należycie spirytystyczny żarcik Cowarda.

TEATR LUDOWY

Teatr Letni: „Nitouche", komedia muzyczna w czterech aktach **Henri Meilhaca** i **Alberta Millanda** w adaptacji **Cezarego** i **Jerzego Tomskiego**. Muzyka **Hervé**. Reżyseria: **T. Cygler**. Inscenizacja choreograficzna: **F. Parnell**. Scenografia i kostiumy: **K. Pręczkowski**. Kapelmistrz: **St. Dzięgielewski**. Orkiestra Związku Zawodowego Muzyków. Kierownik Literacki: **E. Żytomirski**. Kierownik artystyczny: **J. Mroziński**. Kierownik administracyjny: **T. Łuczaj**.

„Nitouche" — ani rusz!

Artur Marya Swinarski

Notatnik muzyczny

Filharmonia i ruch amatorski na Śląsku

W związku z bliskim otwarciem nowego sezonu koncertowego mnożą się problemy, różnych ośrodków. Katowicka „Filharmonia Śląska" ma do rozwiązania specjalnie aktualne dziś zagadnienie. Oto zwrócił się do niej Związek Górników z propozycją nawiązania współpracy muzycznej. Dyrekcja, w osobach dyrektora artystycznego Witolda Krzemieńskiego (któremu zawdzięczam te informacje) i dyrektora administracyjnego Mieczysława Kosewskiego, ustosunkowała się pozytywnie do propozycji Związku Górników. I oto, zaraz na wstępie powstała trudność decyzji: zamówiono 4 koncerty miesięcznie. Po jednym w Katowicach a 3 miesięcznie w ośrodkach fabrycznych. Lecz czy należy tu obsłużyć wiele miejscowości, dając w każdej z nich po jednym koncercie rocznie, czy też lepiej będzie dać po 10 koncertów w roku, w czterech wybranych miejscowościach?

W ubiegłym sezonie Filharmonia Śląska obsłużyła poza Katowicami 34 miejscowości. Gliwice miały 8 koncertów, Chorzów i Siemianowice po cztery, lecz wiele innych miejscowości po jednym tylko. Czy jeden koncert w sezonie spełnia wychowawczo-kulturalną misję?

Frekwencja i zainteresowanie słuchaczy, wypełniających szczelnie świetlice i hale fabryczne świadczą, że imprezy takie potrzebne są wszędzie. Dowodzi tego również istnienie wielu orkiestr górniczych na Śląsku. Dyrektor Krzemieński zapewnia, że ich poziom techniczny jest wysoki a instrumentaliści mogą się mierzyć z zawodowymi muzykami. Rozmaite są składy tych zespołów, od symfonicznych po dęte i jazzowe. Pierwsze miejsce zajęła w konkursie orkiestr górniczych orkiestra kopalni Walenty — Wawel, którą prowadzi dyrygent Kozioł. Wysokim poziomem odznacza się orkiestra reprezentacyjna DOKP pod dyrekcją Klechy. Na terenie samego okręgu Katowickiego znajduje się 12 chórów, w których zgrupowanych jest 700 śpiewaków — amatorów.

Ten zachęcający bilans artystyczny przedstawia się jednak znacznie gorzej, gdy wglądniemy w programy, czyli, mówiąc ogólnie, w sprawę kierownictwa artystycznego wszystkich tych zespołów. Wykonywane są, w najlepszym wypadku, popularne utwory niemieckie Suppégo, Lehara, Rusta, lub np. „Polonia" Ryszarda Wagnera. Czemu to przypisać? Utwory te, obok niewątpliwych wartości popularno-muzycznych, znakomicie są rozpisane na zespoły wszelkiego gatunku, można je wykonać, poczynając od małych kameralnych zespołów solowych, poprzez orkiestry wojskowe, salonowe, jazzowe, aż po symfoniczne. Pracowały nad tym w XIX w. w Niemczech całe pokolenia skromnych „rzemieślników muzycznych", którzy tym sposobem stworzyli bogatą literaturę o bardzo zresztą rozmaitej wartości artystycznej i zarzucili nią nie tylko swój kraj, lecz i cały świat. I tu dotykamy sedna problemu, o który walka może dopiero po latach wytężonej pracy wydać bogaty i obfity plon.

Musimy wyprodukować nie tylko kompozytorów, lecz i ludzi, którzy rozpisywaliby, układali, instrumentowali literaturę wartościową, przystosowując ją do potrzeb terenu i dając temu terenowi to, czego on oczekuje.

Doświadczenie z wydawnictwem PWM, które wydało fragmenty ze „Strasznego Dworu" Moniuszki w opracowaniu O. Staszyńskiego, nie wydało pozytywnych rezultatów. Wydanie to było dużym wysiłkiem. Nadaje się ono do wykonania przez trio i najrozmaitsze zespoły instrumentalne, o składzie t. zw. „orkiestry salonowej". Lecz popularyzowanie to jakoś nie „chwyciło" jak dotąd. W porównaniu do innych wydawnictw PWM, ten zbiór moniuszkowski nielicznie się rozszedł. Widocznie orkiestry amatorskie wolą grać Rusta, niż „Chór prząśniczek", arię z kurantem czy mazura.

Czemu? Nie zrażajmy się. Mamy już sporo opracowań i wydawnictw chóralnych, program potrzebny tworzy się ciągle i będzie się tworzył coraz energiczniej. Śląski tydzień kultury jest okazją, by powstały nowe dzieła drogą zamówień i konkursów, do których Związek Kompozytorów już zgłasza swój udział. To co się dzieje na Śląsku jest tylko ułamkiem tego, co na obszarze całego kraju jest do zrobienia. Lecz kto wie, czy działalność, eksperymentalna jak dotąd, Filharmonii Śląskiej, nie pozwoli wyciągnąć wniosków, które ożywią działalność twórczą i wydawniczą. Bo — jak dotąd — ciągle jeszcze rozbijamy się o zasadnicze problemy, dla kogo pisać, jak pisać, jaki słuchacz i czego oczekuje, jak podejść z jakim programem, by tego masowego słuchacza przyciągnąć do „dobrej sztuki". Kto wie, czy w ośrodkach górniczych nie znajdziemy najprędzej praktycznej odpowiedzi na wszystkie te pytania. A, zanim znajdziemy kadry ludzi, którzy by cały ten, istniejący już ruch ujęli w swoje ręce, mamy Filharmonię Śląską, która, żywym przykładem powinna działać, jak gdyby „sumarycznie", prze artystyczny swój poziom i tę siłę atrakcyjną, którą dla ruchów amatorskich jest żywy przykład, wypływający z zawodowych ośrodków muzycznych.

Wspólny koncert orkiestry filharmonii z kolejową orkiestrą katowicką i chórami tego okręgu był tego dowodem. A trudności programowe pozwalają na użycie sloganowej formuły, którą ująć można w słowach: „Śląsk woła o muzykę dla mas".

Zygmunt Mycielski

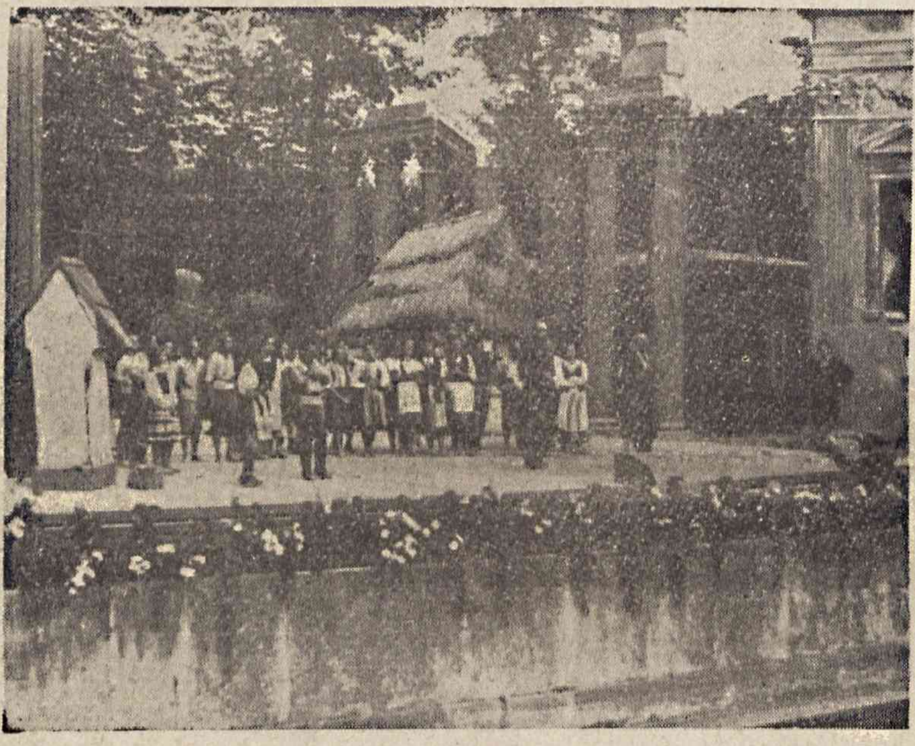
KRONIKA TEATRALNA

NOWA SZTUKA SWINARSKIEGO



Teatr Adama Brodzisza wystawia nową komedię Artura Marii Swinarskiego „Gra o Barbarę".". Na zdjęciu Maria Bogda (aktorka Barbara) i Janina Morska (garderobiana). Reżyseria Józefa Karbowskiego.

OPERA POLSKICH RZEK



W teatrze na wyspie w Łazienkach między 8 a 15 sierpnia br. „Opera polskich rzek" wystawiała „Flisa" Stanisława Moniuszki i balet „Wesele krakowskie" w następującej obsadzie: Maria Morbitzer (Zosia), Antoni Wolak (fryzjer), Edmund Kossowski (stary żołnierz), Witold Łuczyński (Franek) i Antoni Kochanowski (ojciec). W balecie, opracowanym przez E. Paplińskiego, zwraca uwagę młoda para utalentowanych tancerzy: Barbara Goślińska (panna młoda) i Bogusław Łuckoś (pan młody).

Korespondencja

O POPRAWĘ BYTU HUMANISTÓW

Do redaktora „Odrodzenia"

P. Adam Leśniewski w korespondencji „W sprawie upowszechnienia kultury" („Odrodzenie" nr. 31 z dn. 1.VIII. br.) poruszył aktualną i ważką sprawę „niezrozumialstwa" naszych periodyków literacko-społecznych z „Kuźnicą" na czele („Kuźnicę" trzeba czytać ze słownikiem w ręku).

Autor notatki z osobistych doświadczeń wykładowcy „Nauki o Polsce współczesnej" na kursie wstępnym na wyższe uczelnie spotkał się z objawem powszechnego nierozumienia przez studentów artykułów z naszych wyżej wymienionych czasopism. O czym to świadczy? Świadczy to o tym, że ci kursanci nie mieli dostatecznej podstawy do rozstrząsania zagadnień z tej dziedziny. Brak im systematycznego wykształcenia humanistycznego. Ze wszech miar rozsądną jest rzeczą, że kładzie się największy nacisk na wykształcenie z dziedzin nauk technicznych i ścisłych, bo Polska, zniszczona przez barbarzyński najazd teutoński, potrzebuje stale jeszcze licznych armii techników, lekarzy, agronomów i innych. Nie trzeba jednak zaniedbywać kultury humanistycznej, tego co ludzkość stworzyła w ciągu stuleci dla swego uszlachetnienia i uczłowieczenia.

Masy ludowe, które w naszych czasach ostatecznie dokonały swej emancypacji, na pewno umieją korzystać z dóbr kultury humanistycznej wieków przeszłych. Trzeba im tylko w szkołach, zwłaszcza średnich, wpoić umiejętność tego korzystania i uprzystępnić dzieła umysłu i ducha ludzkiego. Nie trzeba się obawiać szkodliwego oddziaływania tych dzieł; umiemy bowiem odrzucić pewne zbędne, niezgodne z duchem czasu rekwizyty, a zresztą wychowawcy mogą dbać o to.

Nie dość na tym: jesteśmy zdolni, opierając się na dorobku pokoleń minionych, stworzyć nowe wartości, które posuną naturę ludzką w drodze od prymitywizmu. Aby tego dokonać, trzeba koniecznie kultywować humanistykę.

P. Leśniewski pisze, że dlatego niewiele osób zgłasza się na wydział humanistyczny uniwersytetów, ponieważ obawiają się trudnego materialnie bytu pracowników tego działu nauki. Według mnie państwo powinno dbać o to, żeby ci uczeni żyli w znośniejszych warunkach, bo inaczej mogłaby się spełnić przepowiednia Bernanosa o smutnym końcu „epoki robotów".

A propos języka „Kuźnicy" i innych pism literackich muszę zaznaczyć, iż rozumiem go zupełnie dobrze. Jestem zagorzałym czytelnikiem tych pism (odpowiada mi zwłaszcza racjonalistyczna atmosfera „Kuźnicy" przypominająca drogie dla mnie czasy encyklopedystów!) czytam je, jeśli tylko brak czasu, a raczej szczupły budżecik pozwoli, mimo to znam je bardzo dobrze. Trzeba wiedzieć, że słowa moje mają wagę złota, gdyż jestem sobie zwykłym młodzieńcem z prowincji, mającym ukończoną „małą maturę", który ma zamiar dalej się uczyć w miejscowym liceum matematyczno-fizycznym (sic!), innego zresztą w miejscu nie ma, a na naukę poza domem nie pozwalają warunki materialne.

W. Szanowny Panie Redaktorze, proszę przyjąć od szaraka prowincjonalnego wyrazy prawdziwego szacunku.

Jerzy Jakubowski
(Działdowo)

RYSUNKI RUFINA POLITURKI-PYRSKIEGO

RUFIN POLITURKO-PYRSKI, światowej sławy malarz, rzeźbiarz, rysownik. Nasz rodak z Pyr. Odkrywca rzeźb murzyńskich (plemiona: Baga, Bambara, Nunuma, Yoruba, Sobo, Ibo, Ibibio, Chamba, Balumba). Z twórczości jego promieniuje krzepki dynamizm chłopa mazurskiego. Silna indywidualność Politurki-Pyrskiego nie pozostała bez wpływu na takich asów malarstwa jak: PICASSO, BRAQUE, LÉGER, MATISSE, DE CHIRICO czy nasz Fabian Miesiączek.

Bibliografia:

„Politurko Drawings" Andre Level, Les Editions G. Coes & Cie, Paris 1933. „Politurko" Peintures, Les Editions Du Chêne—Paris. „The Journal of Rufin Politurko" By J. G. Fletcher, New York, 1937.

„Czy Politurko był socjalistycznym realistą?" Konrad Gałązka, „Czytelnik", Warszawa 1947.

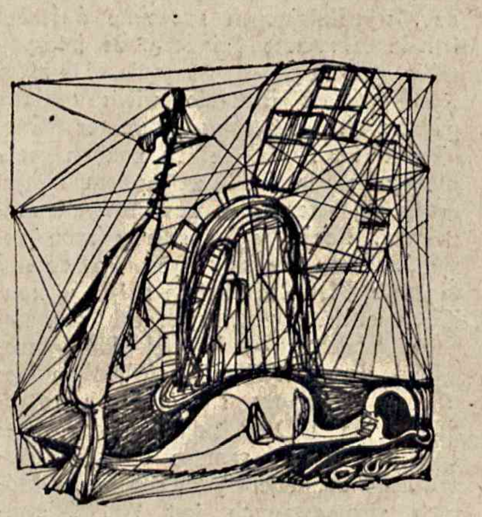
Zamieszczone rysunki ze zbiorów prywatnych Karola Baranieckiego.



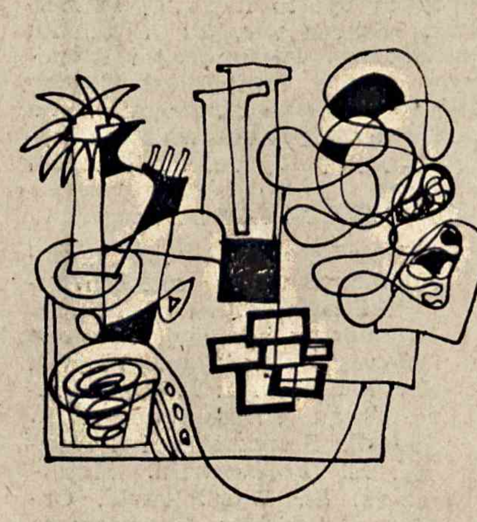
Akt



Oberek, obereczek...



Sen Nr. 3003



Kwiaty

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia" **Warszawa, Daszyńskiego 14**, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 1000 w ubiegłym tygodniu otrzymał ob. Stanisław Schmidt, Poznań, Mickiewicza 29, za wycinek z „Głosu Wielkopolskiego".

WYZWANIE

W „Słowie Polskim" znajdujemy interesujące ogłoszenie:

Młodzieniec ponad 20-letni

PRZYSZŁY GENIUSZ

prosi filozofów, psychologów, pedagogów, indywidualistów, idealistów oraz naukowców wszystkich dziedzin o listy, obalające jego zarozumiałość. Łaskawą korespondencję kierować: „Jeleniogórskie „Słowo Polskie" — „Człowiek".

K 4241

Nie podejmując się obalenia zarozumiałości przyszłego geniusza, pragniemy jednocześnie zaznaczyć, że lepiej od filozofów, psychologów, pedagogów, indywidualistów, idealistów oraz naukowców, zrobiłby to zapewne — psychiatra.

PONURA ZAGADKA

Pod takim tytułem czytamy w „Dzienniku Zachodnim":

Wykorzystując moment, gdy matka jej wyszła do pracy, uprowadzając dziecko do Nowego Wiśnicza pod Bochnią.

I nieco dalej:

Internowana kilkakrotnie o miejsce tego zajścia nie potrafi jego określić. Przeszukano więc na zlecenie prokuratury całą trasę od Wiślicza po Strzegom, szukano po okolicznych wioskach, lasach i łąkach, ale na żoden ślad po małej Krysi nie natrafiono.

Gorąco internujemy redaktora o większą dbałość w redagowaniu pisma.

NOWINKI ŚREMSKIE

V. Kg. 65/48

SENTENCJA WYROKU

W Imieniu Rzeczypospolitej Polskiej

Dnia 13 lipca 1948 r.

Sąd Grodzki w Śremie w składzie następującym:

Sędzia grodzki W. Szulc

Protokólant: str. rej. sąd. Br. Mróz rozpoznawszy dnia 13 lipca 1948 r. sprawę prywatno-karną Nikodema Szymańskiego, leśniczego państwowego w Nowinkach, pow. śremskiego, przeciw Wacławowi Senftlebenowi, urodz. 5.7.1913 w Krosinku pow. Śrem, synowi Michała i Katarzyny z domu Konatkowskiej, rolnikowi i murarzowi, narodow. polskiej, żonatemu niekaranemu, zamieszkałemu w Nowinkach pow. śremskiego, oskarżonemu o to, że od sierpnia 1947 r. w Nowinkach pow. śremskiego pomówił oskarżyciela prywatnego Nikodema Szymańskiego o to, że:

1. chodzi do jego żony Marii Senftlebenowej,

2. że ma z nią stosunki cielesne,

3. że ta zaszła przez to w ciążę, wskutek tego nastąpiło poronienie, a nawet oskarżyciel prywatny miał brać w tym jakiś czynny udział,

4. że nie może żyć z żoną, którą oskarżyciel prywatny używa i to jest powodem starania się o rozwód.

5. że oskarżony o powyższym zgłosił już do Milicji i U. B. w Śremie i w tych dniach nastąpi aresztowanie,

6. że ślady prowadziły w stronę oskarżyciela prywatnego i nawet widziany był za ustępami oskarżonego, które to czyny stanowią wyst. z art. 255, 256 k. k.

Orzekł:

I. Osk. Wacława Senftlebena uznać winnym wyst. z art. 255 par. 1 k. k., popełnionego w ten sposób, że na przestrzeni od wiosny 1947 r. do wiosny 1943 r. w Nowinkach pow. śremskiego, czynem ciągłym kilkakrotnie pomówił oskarżyciela prywatnego Nikodema Szymańskiego o to, iż tenże chodzi do jego żony, za czyn ten na mocy art. 255 por. 1 k. k. skazać go na 2 (dwa) miesiące aresztu i 4000 (cztery) tysiące grzywny z zamianą w razie nieściągalności na 20 (dwadzieścia) dni aresztu, licząc dzień aresztu jako równoważnik grzywny w kwocie 200.— zł,

II. Wykonanie orzeczonej kary pozbawienia wolności zawiesić na przeciąg lat dwóch.

III. Od reszty zarzutów oskarżonego uniewinnić.

IV. Zasądzić od oskarżonego opłatę sądową w kwocie 900.— zł, oraz koszty postępowania na rzecz Skarbu Państwa, jak również na rzecz oskarżyciela prywatnego poniesione przez niego koszty.

V. Zarządzić ogłoszenie sentencji niniejszego wyroku w „Głosie Wielkopolskim" na koszt skazanego.

7a-250 *(—) Szulc*

I po co narażać nieszczęsnego Wacława Senftlebena na dodatkowe koszty, związane z ogłoszeniem niniejszej „Sentencji" w „Głosie Wielkopolskim"? — W przyszłości prosimy o bezpośrednie kierowanie do działu „Camera Obscura". Zamieścimy bezpłatnie.

PRZYKŁADNE RODZEŃSTWO

W „Dzienniku Zachodnim" czytamy:

PODZIĘKOWANIE

Wszystkim znajomym, przyjacielom za życzenia z okazji wesela diamentowego, jak również Szan. Ob. Skolikowi, Nacz. Gm. Somerlingowi, Wielebn. Ks. Biskupowi Kat. Prob. Wolfowi składamy najserdeczniejsze podziękowanie.

(2892) RODZEŃSTWO DEJASOWIE

Na górze róże — do dole fiołki, kochajcie się dalej jak dwa aniołki...

BEZ KONCESJI!

„Dziennik Polski" donosi:

POSTRACH HARBUTOWIC W WIĘZIENIU

W latach 1945 — 46 na terenie gromady Harbutowice pow. Wadowice działała t. zw. banda leśna, która bezprawnie dokonywała rabunków i mordów wśród miejscowej ludności.

..nie dopełniwszy niezbędnych formalności związanych z zarejestrowaniem przedsiębiorstwa.

ZWYCIĘSTWO

W „Dzienniku Zachodnim" czytamy:

PIŁKARZE FRANCUSCY ZWYCIĘŻAJĄ W OSLO

Oslo (obsł. wł.). Bawiąca w stolicy norweskiej czołowa drużyna piłkarska Francji Stade Francais rozegrała spotkanie towarzyskie z reprezentacją Oslo. Spotkanie to, które stało na dobrym poziomie i było bardzo żywe zakończyło się zdecydowanym zwycięstwem Norwegów w stosunku 3:1 (1:1). Widzów 20 tys.

Podobne zwycięstwo odniosła nasza drużyna piłkarska w Danii, przegrywając 8 : 0...

FELIETON A RZECZYWISTOŚĆ

W „Dzienniku Łódzkim" z dnia 29 lipca znajdujemy na wspólnej kolumnie, szpalta obok szpalty, sprawozdanie z bestialskiego mordu, rabunkowego, jaki miał miejsce w Łodzi i codzienny felieton „Z ukosa". Z uwagi na doniosłość zagadnienia przytaczamy fragmenty obu sąsiadujących ze sobą tekstów:

1. Opis zbrodni:

W dn. 16.7 rb. zwyrodniali chłopcy, wiedząc, że Wujkowski posiada flower, umówili się z nim do Parku Ludowego, aby tam strzelać do celu. Postanowili bowiem posiąść jego zegarek na rękę i flower. 17 bm. udali się wszyscy na Zdrowie. W pobliżu wieży spadochronowej ustawili chłopcy puszkę od konserw, która miała być celem strzałów. Podczas gdy Wujkowski strzelał, rzucił się na niego Trocki i począł go dusić, a następnie wbił mu po rękojeść sztylet w piersi. Gdy Wujkowski ruszał się jeszcze Krauze zadał mu jeszcze dwie rany w okolice serca, a następnie Trocki strzelił z floweru w głowę ofiary. Po zabraniu z kieszeni zamordowanego jednego zegarka zepsutego, 210 zł, dokumentów, zegarka ręcznego i floweru, mordercy zakopali zwłoki w wyrwie po pocisku i zatarli ślady. Dokumenty zniszczyli. Po podzieleniu się łupem obydwaj udali się do swych domów. Za pieniądze uzyskane z sprzedaży zegarka kupowali słodycze, owoce i bilety do kin.

Zbrodniarze nie wykazują żadnej skruchy i o przebiegu morderstwa opowiadaja ze spokojem. Zostali oni osadzeni w więzieniu i przekazani do dyspozycji władz sądowych.

W.

2. Felietonik:

Z UKOSA

GODZIWA ROZRYWKA

— Strasznie nudno jest latem w Łodzi — skarżył się Fredzio, gdy przechadzaliśmy się wieczorem ulicą pewnego przedmieścia. Do kina iść — duszno, na dancing — to samo. Liga piłkarska urządziła przerwę, a bokserzy są na Olimpiadzie. Zupełny brak rozrywek.

— Tak, tak — przytakiwałem mu z pełnym zrozumieniem.

— I w ogóle w mieście nic się nie dzieje. Żeby chociaż jaki napad bandycki, albo morderstwo, a tu nic!

— Cóż, kanikuła — westchnąłem.

Albo felietonista łódzki nie ma zielonego pojęcia o tym co dzieje się w Łodzi, albo wie, nie mając natomiast zielonego pojęcia o tym, co zwykliśmy nazywać odpowiedzialnością za drukowane słowo.

REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 40.180-90 wewn 22 — Redaktor przyjmuje od g. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, tel. 87-112 Konto w PKO nr I-473

Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-53898 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"